Nr. 25. Warszawa, dnia 23 (11) Czerwca 1894 r. Rok XIV.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Otchłań włoska, p. Ż. — Listy z Anglii, p. Wacława Nadolskiego. — Żale niemców i tryumfy słowian austryackich w świetle nauki, I, p. —nr. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Laura Marholm. Przyczynek do psychologii kobiety. — *Badania naukowe:* Nauka czy mistycyzm? p. L. K. — *Literatura i sztuka.* Literatura norweska, p. W. Bugiela. — *Życie społeczne:* Listy z Paryża, p. J. Jot. — Chłop rumuński, p. Hum. — Liberum veto, p. Posła Prawdy. — W dali. — *Sprawy ekonomiczne:* Środki wzmocnienia ekonomicznego, I, p. Zen. Piet. — Prasa ruska. — Kronika. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Szanownym Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty.

POLITYKA.

OTCHŁAŃ WŁOSKA.

Ktoś rzucił światu do gryzienia paradoks, że szczęśliwe kraje nie posiadają historyi. Tegoczesne Włochy mogłyby ten wybryk czyjegoś dowcipu wybornie zastosować do siebie. Dostarczają bowiem od niejakiego czasu stałej treści do rubryki politycznej w łamach dzienników swojemi klęskami i sromotą. To rozchodzi się wieść o haniebnych nadużyciach, które rzucają plamę na najpiękniejsze nazwiska; to w Sycylii, wszerz i wzdłuż tego śpichlerza starożytnego, lud, pogrążony w nędzy i ciemnocie, wkrzesza czasy dawnej Żakeryi, a odgłosom żywiołowego rokoszu wtórzą zawichrzenia w dalekiej okolicy Włoch północnych; to znowu słyszymy o upadku moralności publicznej, o rozterce ambicyj politycznych, dla swego rozdętego „ja“ gotowych poświęcić przyszłość kraju. Tak, wiele się mówi teraz o półwyspie apenińskim, ale sławy tej trudno mu zazdrościć. Nędza i zrodzona z niej rozpacz, bankructwo skarbu państwowego i sprzedajność ojców narodu, walka maluczkich sercem pomiędzy sobą i w głębi możliwość ogólno-narodowej Żakeryi — tylko takie objawy wydobywamy z powodzi wzmianek o Włoszech. Świeży wystrzał Legi, wymierzony przeciwko Crispiemu, znowu dostarczył nowego wątku, obok którego ręka nielitościwej logiki dziejowej snuje jeszcze parę innych: wzrastający deficyt, wrzenie w Sycylii, że nie mówimy o mniejszych, np. o czynnem znieważeniu na ulicy pani Liny Crispi tylko za to, że jest żoną swego męża. Są pesymiści, którzy wróżą, że Włochy znajdują się w przededniu tej samej katastrofy, która wstrząsnęła jej zaalpejską współzawodniczką przed setką lat. Nie chcemy wtórować też przepowiedni, ani też z niej szydzić. Zaznaczamy jej istnienie i przechodzimy do skreślenia sytuacyi.

Niech zna kurka swoją grzędkę — takiej nauki moralnej udzieliłby Włochom wyznawca szarej, przysłowiowej filozofii codziennego życia. Rozwój postępuje o własnych siłach tylko w niewielu krajach naszej części świata. Polega on na tem, że naród wzrasta w zamożność, że zaprowadza rożne kosztowne urządzenia, jak koleje żelazne, szosy, liczne szkoły, druty telegraficzne, wreszcie *last not least* — militaryzm. Dzieje się tak, ponieważ życie wymaga takich instytucyj, kraj zaś w swoim dobrobycie posiada odpowiednie po temu źródła podatkowe. Naturalnie, koleje np., odpowiadając potrzebie realnej, są zdolne utrzymywać siebie, a to samo można też rzec o innych stronach życia, przynajmniej bardzo wielu. Inaczej bywa u narodów - kopciuszków. Siły produkcyjne w nich drzemią, zamożność jest nieznaczną, oświata niewielką. Ale kraj znalazł się w towarzystwie, które nań oddziaływa. Oto sąsiad ze wspaniałą przeszłością ekonomiczną ma koleje, linie telegraficzne, liczne porty. Kopciuszek też zaczyna sprawiać sobie taki sam rynsztunek. A zatem powstają: linie telegraficzne, gdzie na niektórych stacyach raz na miesiąc podawana bywa depesza; forty, bezczynnie oczekujące na lepsze czasy; kolonie, do których udają się jedynie urzędnicy i z których nadchodzą tylko transporty papierów o nowe środki pieniężne. Wreszcie, jak przystało na dzisiejszą epokę zbrojnego pokoju, militaryzm coraz butniej podnosi czoło. Tymczasem nic ma on środków na utrzymanie tego rynsztunku. Stały deficyt staje się zasadą w życiu skarbu publicznego. Trzeba udawać się o pożyczki na melioracye i „cywilizowane“ instytucye, na pokrycie corocznie powtarzającego się niedoboru, ale pomoc ta nie tylko nie powraca zdrowia, lecz owszem jeszcze bardziej potęguje niemoc. Właśnie takim jest stan Włoch. Sprawiły one sobie politykę kolonianą i politykę europejską wraz z nieodłącznym militaryzmem lądowym i morskim, założyły porty handlowe i wojenne, poręczyły prywatnym kolejom i przedsiębiorstwom dochody określonej stopy. Kraj nie posiada jednak dostatecznie mocnego grzbietu, ażeby unieść tę zbroję cywilizowaną. Szruba podatkowa wyżyma zatem ostatnie soki: nędzę czyni jeszcze rozpaczliwszą, ciemnotę jeszcze głębszą, powolny i bez tego rozwój jeszcze powolniejszym. Ale tych soków nie starczy na zaspokojenie pragnienia włoskiego Lewiatana: skarb publiczny brnie w długi. Wzrastający niedobór jest niby pismem tajemniczej ręki, które ucztujących babilończyków przestrzegało o tem, że dni ich są policzone. Mechanizm, raz wprawiony w ruch, działa już żywiołowo: kto dotknie się jego steru, traci własną wolę i staje się jedynie głosicielem jego apetytu. Crispi, Nicotera, Zanardelli brukają w tem błocie swoje nazwiska. Szrubują oni dalej prasę podatkową i wzmacniają rynsztunek, pod którym kraj upada, zwłaszcza w postaci najmniej korzystnej, bo militarnej. A lud wtłoczony pod tę maszynę, poczyna zmierzać ku wzorom Żakeryi.

Ale dzban dopóty wodę nosi, póki się ucho nie urwie. Zdaje się, jesteśmy w przededniu czegoś podobnego. Na megalomanii nie zbywa we Włoszech, a jednak ku schyłkowi przeszłego roku Zanardelli napróżno poszukiwał towarzyszów do utworzenia gabinetu! Tego samego doświadczył Crispi przed tygodniem. Wśród włoskich mężów stanu objawiła się bojaźń stanięcia u steru rządów, bo każdy z nich

czuje, że nie zbierze ani wawrzynów, ani miłości na tym posterunku. Potrzeba było na to odwagi Crispiego, który wogóle umie wszystkiemu śmiało patrzeć w oczy, nawet kodeksowi karnemu... Stanął on u steru rządu z bardzo prostym programem. Rynsztunku, do jakiego zobowiązuje towarzystwo zamożniejsze, nie wolno się pozbywać, to znaczy, że nie poświęci on ani jednego kasku żołnierskiego. Kraj musi zdobyć się na nową ranę, z której wyciekająca krew da skarbowi parę dziesiątków milionów dochodu więcej. Co najwyżej można będzie zaprowadzić niektóre oszczędności w zarządzie administracyjnym. Tak wygląda mądrość tego wielkiego męża. Na jej zastosowanie potrzeba tylko zgody ojców narodu, składających Izbę prawodawczą. Ale w gruncie rzeczy posłowie włoscy nie są nawet w przenośni przedstawicielami narodu. Włochy bowiem zostały zjednoczone, ale nie zrosły się jeszcze — *Italia è unificata, mai non unita!* Patryotyzm zaściankowy drga jeszcze całą mocą. Parma gotowa jest rozprawiać o wielkiej ogólnej ojczyznie, lecz nie poświęci ani jednej swojej synekury. Administracya włoska, która przy tworzeniu się państwa nie mogła poczynać od znoszenia urzędów, kosztuje bardzo wiele, każdy bowiem historyczny Pacanów, w którego murach mieścił się ongi dwór, który tem samem posiada różnych dostojników, zachował te synekury na dzisiaj. Ale żaden nie zrzecze się. Zatem o oszczędnościach, zamyślanych przez Crispiego, nie może być mowy. I w sejmie zamiast partyj znajdujemy jedynie kliki zaściankowe, które po nad dobro kraju stawiają przyszłość tego lub innego zakątka, po za tem zaś gotowe są zawsze się sprzedać za pieniądze lub honory. Naturalnie, potargują się, ale wreszcie przystaną na rynsztunek dzisiejszy i nowy upust krwi podatkowej.

Słowem, mechanizm państwowy, który nie odpowiada zamożności kraju i działa na organizm ojczyzny niby nowotwór w ciele ludzkiem, wysysa wszystkie siły żywotne i pcha Włochy w przepaść nędzy i ciemnoty; obawa objęcia władzy śród rzeszy uczciwych patryotów i kierowanie nawą państwową przez obłąkańców ambicyi; wreszcie sprzedajny sejm, rozpadający się na kliki i kliczki i pogrążony w dbałości o własny interes — oto zasadnicze rysy sytuacyi na półwyspie apenińskim. A nadziei, ażeby było inaczej, nie ma. Można mniemać, że Dante, w swoim utworze umieszczając na wrotach piekła wyrazy: „Wstępujący, wyrzeknijcie się wszelkiej nadziei!“ — rył charakterystykę dzisiejszego momentu swojej ojczyzny.

Ż.

Listy z Anglii.

III.

Ladas, klacz wyścigowa lorda Rosebery, jest bohaterką dnia. Wobec tego tryumfu niecierpliwi radykałowie żądają natychmiastowego rozwiązania Izby gmin i rozpisania nowych wyborów, które pod świeżem wrażeniem zwycięztwa, odniesionego przez „konia rządowego,“ z pewnością — tak mówią — dadzą znakomitą większość „liberalizmowi rządowemu.“ Żądanie to nie jest naszym wymysłem; ono „stoi“ w gazetach, czarno na białem! Powstaje więc zapytanie: czy w samej rzeczy lud angielski może oddać pierwszeństwo temu lub owemu sposobowi rządzenia krajem, kierując się wrażeniami, odniesionemi na polu wyścigowem? Czyż w istocie zwycięztwo Ladas może wpłynąć na zwycięztwo tego lub owego stronnictwa politycznego?

Nie ulega wątpliwości, że „cały świat i jego żona“ (all the world and his wife) zajmują się tu wyścigami i wszelkiego rodzaju sportem. Gazety angielskie mają stały dział, poświęcony różnym igrzyskom, stanowiącym tutaj potrzebę życia narodowego. „Paper boys“ (chłopcy sprzedający gazety) co wieczór niemal wykrzykują późne wydania, donoszące o „wszystkich zwycięzcach“ (all the winners) w krokecie, w różnych grach piłkowych, w wioślarstwie, w cyklizmie, w boksowaniu, a wreszcie o koniach lub kogutach. Jeśli *derby* zajmuje w sporcie bardziej wybitne stanowisko, to przyczynę główną tego pierwszeństwa stanowią zbytek i moda, którą arystokracya narzucała. Dawniej i parlament zawieszał swe posiedzenia, aby uczcić turniej narodowy koni; dziś Izba gmin stale odrzuca wszelkie corocznie ponawiane wnioski odroczenia posiedzeń w dzień wyścigów w Epsom. Przyczyną tej zmiany jest przeobrażenie, jakie zaszło w składzie członków Izby, w której właściciele ziemi, a zatem i stadnin, nie mają już dawnej swej większości. Ale posłowie, obradując w dzień *derby* nad losami kraju, nie są bynajmniej obojętni na rezultat wyścigów. We środę, d. 6 czerwca, skarbnik państwa, Sir William Harcourt, otrzymał podczas obrad nad budżetem telegraficzną wiadomość o zwycięztwie Ladas i natychmiast przerzucił telegram do ławy opozycyi, której przywódca, Balfour, dał hasło do dżentelmeńskiego: hurra! Słowem, sport ma w Anglii uznane i uświęcone stanowisko w życiu narodowem i jest odzwierciedleniem silnego instynktu walki, przebijającego się w rozwoju rasy anglo-saskiej. Wszelki wyraz siły oraz każde powodzenie wywołują tu zachwyt i prawdziwe uwielbienie. Cóż więc dziwnego, że dobry kriketer lub zręczny wioślarz może wyzyskać uznanie narodowe siły fizycznej dla swego politycznego interesu? Czemu zresztą laury zwycięzkie dobrego gracza w piłkę, który przysięga, że swą siłę i swe zdrowie oddaje na usługi kraju, mają mniej wpływać na umysły, aniżeli sentymentalne wzdychania różnych równie płaskich umysłowo, jak i nędznych fizycznie demagogów lądu stałego, którzy zdobywają sobie tłumy za pomocą frazesów? Dlaczego np. tromtadrata galicyjski, ubogi w myśli i pozbawiony mięśni, może czarować patryotyczne usposobienia ogółu i dlaczego trudno nam zrozumieć wpływ dobrego boksera, który ma nad pierwszym tę przynajmniej wyższość, że rzeczywiście posiada tęgie kułaki i sprężyste ramię, że umie chodzić nietylko na końcu wymownego języka, ale i na silnych, zdrowych nogach. I dlaczego hodowca dobrych koni ma być gorszym od reproduktora odwiecznych frazesów? Demagogia silnej pięści nie jest gorszą od demagogii rozwiązłego języka.

---

1)

LAURA MARHOLM.

PRZYCZYNEK DO PSYCHOLOGII KOBIETY.

I.

Siedziała na wdzięcznie ubufowanej sofie, pomiędzy mnóstwem miękich haftowanych poduszek, wyszywaniem nowej zajęta. Przed nią na stole stała lampa, osłoniona różowym światłochronem, pod lampą zaś leżały książki, czasopisma, barwne włóczki i wyrysowany przez nią samą wzór na poduszkę. W ładnym, majolikowym kominku, poza czerwonym szklanym ekranem skwierczały i trzeszczały płonące głownie, których ciemne, długie, skaczące blaski zabawiały się grą w chowanego. Włosy miała jasne, a twarz różową; z twarzą nad haftem pochyloną, przy tejże lampie, przy tymże stole przedstawioną była na obrazie, wiszącym nad jej głową, między starymi sztychami z zarania Odrodzenia włoskiego. Portret ten był dziełem znakomitej malarki, tło zaś obrazu było również bogate, również pogodne i również wygodnym, pewnym dobrobytem przesycone, jak pokój, który je otaczał. Jednak mniej na obrazie, aniżeli w przystrojeniu pokoju, uderzał smak początków siódmego dziesiątka lat w kształcie mebli, we wzorach dywanów, w obrazach sławnych podówczas malarzy. Całe urządzenie pochodziło z *tego* czasu i młodość jej była z *tego* czasu; a w uśmiechu, z którym spojrzała na siedzącego naprzeciw niej, z pełnym czci podziwem wpatrującego się w nią młodziana, w grze jej rysów, w ułożeniu była resztka z owej „miodowej epoki“ kobiecości. Miękkim, łagodnym głosem powiedziała mu coś przyjemnego, a on prawił dalej o krytycznem stanowisku ludzi współczesnych w stosunku do religii, ona zaś rzucała od czasu do czasu zupełnie świadome przedmiotu uwagi i haftowała dalej swoją poduszkę.

Z sąsiedniego pokoju, przybranego nowocześnie dywanami, pufami, szezlongami, wsunęła się chuda postać uczonego jej brata. Przez chwilę chodził po salonie, milcząc, bezmyślnie po półkach czegoś szukając, poczem mruknął coś do młodego człowieka i zabrał go do swego gabinetu.

Siedziała — różowa, jasna, z tym swoim niezmiennym, łagodnym, napół uśmiechniętym wyrazem twarzy i pilnie haftowała dalej; ja leżałam na nizkim fotelu i patrzyłam na nią, patrzyłam na jej portret, na elegancki pokój, a kiedy — niekiedy w okno, poza którem zmierzch już zapadał, bynajmniej nie zapraszając mnie do wyjścia.

— Powiedz mi pani, czyż wyszywanie tych kwiatów i łodyg na suknie lub aksamicie istotnie przyjemność ci sprawia? — spytałam ot tak, byle coś powiedzieć.

— Przyjemność? — podniosła oczy, a łagodny jej uśmiech stał się trochę kwaskowym—naturalnie, największą przyjemność. Spójrz pani, tę oto portyerę w jadalni wyhaftowałam całą, podobnież i firanki, i dwa pokrycia na szezlongi, a kiedy skończę tę właśnie poduszkę, wezmę się do draperyj na drzwi narożnego salonu. Na wystawę wiosenną wykończę parawan ze storczykami. Dyrektor muzeum artystyczno-przemysłowego dał mi do zrozumienia, że czeka mnie za to nagroda dzięki uznaniu, jakiego na ostatniej wystawie doznała moja gałąź kasztanu na suknie. Cóż pani myśli! Taka zadawalająca działalność! Nazwisko moje żyć będzie życiem nieśmiertelnem w katalogach przemysłu artystycznego, jako nazwisko wynalazczyni nowego źródła pracy kobiecej, tak *prawdziwie* kobiecej: naśladowane kwiaty, liście i łodygi, relief skóry, wykonany nowym ściegiem na suknie. Świadomość ta grzać mnie będzie na starość.

Panna zaśmiała się krótkim, ostrym śmiechem, rzuciła wszystkie szmatki i wstała.

— Chodź pani, będziemy wyglądały oknem — to takie zabawne i przyzwoite. Człowiek przypatruje się zawsze temu tylko, co inni robią. Czy nie znajduje pani,

Przyznajemy zatem, że zwycięztwo Ladas może być wyzyskanem jako środek demagogiczny. Przesadą wszakże jest zdanie, że koń ten rozstrzygnął wynik przyszłych wyborów. Wyborcy torysi nie są mniej stałymi w swych poglądach od wybranych posłów konserwatywnych, którzy pomimo niczem niezachwianej swej opozycyi względem rządu okazali się tak dalece bezstronnymi wobec Ladas, że jej zwycięztwo uczcili okrzykiem uznania w świątyni prawodawstwa narodowego. Ci, co twierdzą, że wygrana przysporzy liberałom 100,000 głosów, wypowiadają tylko swe własne, pobożne życzenia.

Tymczasem ujawniła się nagana dla lorda Rosebery. „Wkrótce przekonamy się— powiada kaznodzieja Sepherd — że naród angielski nie życzy sobie premiera, który uczestniczy w wyścigach.“ Znany metodysta, kaznodzieja Price Hughes, idzie jeszcze dalej i oskarża wodza partyi liberalnej, że bierze udział w „karnawale łajdactwa.“ „Sumienie nonconformistów“ wystąpiło więc z całą siłą, a pisma radykalne podają cały szereg listów, w których członkowie niezależnych kościołów czynią rządowi gorzkie wyrzuty i grożą rokoszem. Jeśli Price Hughes i jego koledzy nie zadowolą się platonicznym protestem i prawdziwy podniosą rokosz, rząd znajdzie się w nader przykrem położeniu.

W napaściach tych „sumienia sekciarskiego“ widzimy pewną dozę prawdy. Wszakże rząd wyzyskiwał sekty, wszakże udawał, że zasadniczo podziela ich teorye moralizatorskie. Skarbnik państwa motywował nawet powiększenie podatku na piwo potrzebą szerzenia wstrzemięźliwości. Całe stronnictwo liberalne, mając w sektach podporę pierwszej wagi, schlebiało nieraz różnym kaznodziejom licznych kościołów i kapliczek. Cóż więc dziwnego, że ci panowie moraliści, którzy w swym świętobliwym chórze widzieli zawsze poważne i ściągnięte twarze ministrów liberalnych, dziś wydają okrzyk zgrozy na widok premiera, prowadzącego za uzdę grzeszną kobyłę, fetowaną przez tłum lekkomyślnej i „niemoralnej“ gawiedzi. Jeśli nadto uważamy, że wszelkim tym igrzyskom towarzyszą szalona gra i powszechne „zakłady,“ stanowiąc dziś prawdziwą plagę dla klas uboższych, to nawet z punktu widzenia rzeczowego nie możemy mieć za złe wystąpieniom Price Hughesa i jego towarzyszów.

Na szczęście dla karności stronnictwa liberalnego, panowie kaznodzieje przesadzili w swym proteście. Ściągnąwszy brwi na widok kobyły, uroczyście prowadzonej przez premiera, tak dalece nastroili się do typu kaznodziei z XVII stulecia, że wyrzucają Roseberemu jego humor. Cóż to za wódz liberalizmu, którego mowy wywołują tak często „serdeczną wesołość“ publiczności! Panowie ci, przyzwyczajeni do apostolskich porywów Gladstone'a, nie mogą się pogodzić z chłodnym, spokojnym, wyrozumowanym oraz zupełnie świeckim liberalizmem nowego wodza. To też wzburzone „sumienie“ rzuciło klątwę nietylko na szybkonogiego rumaka, ale i na wesoły humor naczelnika rządu, który reformy społeczne przedstawia nie jako udoskonalenie moralnego ducha protestanckiego, ale jako materyalną konieczność dobrej gospodarki, jako konieczny „business“ (interes).

Ta przesada zaszkodzi „sumieniu sekciarzy.“ Ich groźba, że odmówią swego poparcia takiemu „wesołemu“ rządowi, nie ma już podstawy i nie znajdzie oddźwięku wśród ogółu. Zresztą cóż mogą oni wskórać urzeczywistnieniem takiej groźby? Upadek Roseberego znaczy powrót torysów do władzy i zwycięztwo kościoła państwowego, o co przecie najbardziej wzburzonemu „sumieniu“ metodysty chodzić nie może. (D. n.).

Wacław Nadolski.

ŻALE NIEMCÓW
I TRYUMFY SŁOWIAN AUSTRYACKICH
W ŚWIETLE NAUKI.

I.

Charakterystycznem znamieniem epoki Taaffego w Austryi była bezwątpienia walka narodowościowa, nieokiełznana w niczem, ani w jej rodzaju, ani w środkach przez rząd wiedeński. Prawie że nie było kwestyi w wewnętrznem, może i zewnętrznem życiu Austryi, któraby w tak wysokim stopniu zwracała na siebie uwagę Europy w upłynionem dziesięcioleciu, jak antagonizm słowiańsko-niemiecki — i to nietylko ze strony praktyczno-politycznej, ale i teoretycznie. Możnaby już dzisiaj zebrać wcale bogatą, acz niekoniecznie ponętną bibliotekę dzieł, broszur i pamfletów, w których owa walka odbijała się lepiej, niż na najczulszej kliszy fotograficznej. Powiedzieliśmy: lepiej. Bo wszelka literatura — owoc natchnienia i temperamentu ludzkiego żyje. To raz. Ale co ważniejsza — literatura, zwłaszcza zaś ulotna, publicystyczna w całokształcie swego obrazu przedstawia zawsze setne kombinacye szkieł przeróżnych, wypukłych i wklęsłych, które przyjmując z zewnątrz promienie rozwoju życiowego, zanim sprowadzą je do wspólnego dla nich ogniska, odbiją je po drodze to dłuższej, to krótszej (zależy to od świadomości politycznej i od poziomu ogólnego wykształcenia) o cały szereg płaszczyzn pośrednich, rozszczepią na miliardy coraz drobniejszych niteczek świetlnych. A te znowu, mimo że drobne są i dla normalnego oka ludzkiego prawie niedostępne, posiadają tyle atoli siły i tyle ognia, że potrafią namiętności ludzkie w dalszym ciągu rozżarzać, umysły rozpalać. Same z życia powstałe — rodzą je, „niosą pochodnię życia“ — mówi Carus.

Taki mniej więcej charakter ma literatura, powstała w epoce 1880—1890 r. na gruncie czesko-niemieckim. Można w niej odnaleźć wszystkie uczucia i wszystkie namiętności, wszystkie cnoty i wszystkie grzechy: odwagę, graniczącą z cynizmem, poczucie siły, graniczące z lubieżnością, rozpacz — z obłąkaniem. Znaczyłoby to jednak „nosić sowy do Aten,“ jak mawiali grecy, albo „węgiel do Newcastle'u,“ jak mawiają anglicy, gdyby kto szukał w niej— prawdy. Dopiero teraz, kiedy epoka ta stała się już historyą — czas nadszedł i na prawdę i na naukę. Prawie bowiem nie ulega wątpliwości, iż w przyszłym czasie rząd w żadną politykę wyłącznie narodową bawić się nie będzie. Z drugiej znowu strony dla kwestyi naszej jest zgoła obojętnem, czy będzie on kierował nawą państwową bez z góry ułożonego, stałego programu partyjnego — to znaczy będzie „gabinetem urzędników,“ albo czy stronnictwa ekonomiczne staną do walki na miejsce narodowych. W jednym i w drugim razie na losy żywiołów niemieckiego lub czeskiego rząd wpływać nie będzie, bro-

---

że to cel życia w najwyższym stopniu odpowiedni, a Bogu i ludziom miły?

Stanęłyśmy przy oknie, ona — wysoka, smukła, w obcisłym, z dyskretną elegancyą ułożonym stroju, z jasnymi włosami, przedzielonymi po bokach i zebranymi w tyle głowy w gruby, niezupełnie własny warkocz, z wązkiemi wargami, które w ostrożnym uśmiechu ściągała nad niezupełnie własnymi zębami, szara, zmarszczona w niemiłym szarym zmroku wieczornym— stara, stara. Stara panna, co się zowie.

— I czegóż mi się pani tak przyglądasz? spytała, zerkając na mnie podejrzliwie z pod oka.—I pani niewiele już czasu zostało. No, jeszcze masz pani czas! — dodała dobrodusznie — ale zużytkuj go, zużytkuj.

— No dobrze, ale jak?

— Naturalnie, bo też to są tylko frazesy. Czeka panią to samo, co mnie, całem usposobieniem swojem nadajesz się do tego. Ale bo i czegóż nam brak, nam, starym pannom? Czyż mi źle? Czyż nie ładnie wyglądam jeszcze przy świetle, mimo że w tem kochanem rodzinnem mieście mojem wszyscy dobrze wiedzą, ile lat liczę? Czyż nie mam wielbicieli? Weź pani tego młodzieńca, który w tej chwili siedzi u mego brata, przyjrzyj się, jak zakochanem okiem na mnie spogląda? Nie pragnie niczego nad możność towarzyszenia mi na koncerty filharmonijne i na odczyty profesorów; gotów dla mnie do wszelkich ofiar, z wyjątkiem — małżeństwa. A podczas wielkich naszych przyjęć rodzinnych nie jestem-że osią rozmowy, przedmiotem adoracyi naszych kawalerów — rozumna, jak ja, dziewczyna, która sama dobrze i dużo mówić potrafi? A na balach — nie odciągam-że jeszcze dziś tancerzy od panien młodych? Czyż nie wszyscy chętnie się ze mną bawią? czyż niejednokrotnie nawet dla mnie i o partyjce nie zapomną?

Stała przy oknie w żółtawem świetle wieczornem, padającem na żółte, zwiędłe jej rysy.

— Gdy obejmę pamięcią życie moje, czy nie powinnam czuć się zadowoloną? Szanowana, lubiana, poszukiwana jako członek zarządu wszystkich instytucyj dobroczynnych, niezbędna memu biednemu, niezaradnemu bratu, dobra córka, błogosławiona przez rodziców w godzinie ich śmierci, a obdarzona przez nich ładnym i dobrze ulokowanym majątkiem. Czyż nie pochodzę z wysoce szanowanej rodziny, której nazwisko związane jest z literaturą i sztuką naszego kraju? Czyż nie posiadam nieskażonego imienia, czystego sumienia i przeszłości bez plamy? I skądże ten złośliwy wyraz na twarzy twojej, kochana pani? czyż to dla cnotliwej dziewczyny nie dosyć?

Ujęła mnie za rękę, odstąpiła od okna, przeszła się kilka razy po pokoju, poczem spoczęła na kanapce, stojącej w jednym z jego rogów.

— Byłam też kochaną — mówiła dalej — w każdym razie wyśpiewywano chwałę moją w poezyach. Mogłam była wyjść za mąż, za wdowca z czworgiem dzieci — bardzo dobra partya — i za lekkoducha, za dyletanta nawet, bardzo wpływowego w sprawach literackich, a tylko trochę łysego. Podówczas byłam jeszcze tak młodą i ładną, i świeżą, że na coś zupełnie innego czekałam. A potem czas uchodził, a pani wiesz przecież, jak czas uchodzi. Ani się człowiek spostrzeże. Wydaje się tak długim — i tyle jeszcze widzi się przed sobą! Czujesz się zdrową, młodą i nie śpieszno ci. Aż pewnego dnia wstajesz — i już młodą nie jesteś. A potem — wstyd ci tego biegu w wyścigach. Chowasz się tak dziwnie jakoś w sobie i najeżasz się. U mnie zbudzenie się takie nastąpiło wtedy właśnie, kiedy rodzice moi jęli zapadać na zdrowiu i trawiliśmy czas w ustawicznych podróżach. Rodzice pochłaniali mnie — ze spokojnem sumieniem kochających rodziców! A kiedy w końcu oboje pomarli — ja byłam niepotrzebną pozostałością.

Panna ułożyła się wygodniej, skarżąc się na ból krzyża.

Przez chwilę panowała cisza — głucha cisza. Rozległy się uderzenia zegara. Późno się już dla mnie robiło. Wstałam, aby się pożegnać.

Na kanapce stara panna wyprostowała się nagle, dłoń moją przytrzymując.

— Nie, zostań pani jeszcze troszkę! Tak cię lubię! Jakaś pani świeża. Te samotne

niąc jednych lub krzywdząc drugich. Arena walki oddaną zostaje w ten sposób naturalnemu biegowi rzeczy: zwycięży silniejszy. A silniejszy, to znaczy liczniejszy.

Nadszedł tedy czas i na „literaturę," ażeby stała się „nauką," ażeby zamiast służyć tej lub innej partyi i hasłu — szukała prawdy. Jeżeli sądzić można z książki, którą mamy przed sobą, to początek takich badań jest już dokonany — początek wcale poważny. Jest to dziełko Hainischa *O przyszłości niemców austryackich*, który stara się zawiłą formułę walki narodowościowej rozłożyć na szereg ukrytych w niej czynników ekonomicznych. Warto przyjrzeć się zblizka tej formule i tym poglądom.

Wiadomo, że stosunek liczebny ludności młodocianej do ogólnej w statystyce gra rolę pierwszorzędną. Im większą bowiem jest ludność młodociana danego kraju — przy zachowaniu niezmiennej równowagi w innych czynnikach, czyli jak zwykło się mówić *ceteris paribus* — tem mniej liczną jest klasa produkcyjna, tem mniejsze szeregi płacących podatki i zdolnych do służby wojskowej. Dlatego też narody, w których przeważają klasy wytwórcze, są potężniejsze i bogatsze od tych, w których zachodzi stosunek odwrotny. Rozumie się, w teraźniejszości tylko, gdyż przyszłość należy bezwarunkowo do pierwszych. Znany jest przykład Niemiec i Francyi. Ostatnia — gdzie ludność stoi dzisiaj na niezmiennym punkcie i gdzie przeważają liczebnie klasy produkcyjne — żyje lepiej, łatwiej zdobywa się na nowy podatek, niż Niemcy. Bezwzględnie atoli ludność Niemiec różni się w stosunku do Francyi tak silnie, że już dzisiaj kwestya ta stoi na czele wszystkich sprężyn „odwetu." Ten sam stosunek zachodzi między niemieckiemi i nie - niemieckiemi narodowościami Austryi, stosunek, jak wiadomo, odwrotny. Wtedy bowiem, gdy śród niemców liczba klas młodocianych (do 15 lat) wynosi 30 na 100 mieszkańców, u czechów przerasta znacznie 35 (u słoweńców prawie 33). Przy dalszych wyliczeniach, a szczególnie w wyprowadzonych z nich wnioskach, na tym jednym stosunku liczebnym oprzeć się nie można, gdyż nie wchodzi weń czynnik przesuwania się ludności, mianowicie zbierania się klas wytwórczych w środowiska przemysłu. Stolice państwa (Wiedeń, Praga) dają najmniejszy procent ludności młodocianej — zaledwie 23 i 22 na 100 mieszkańców, podczas gdy cyfra przeciętna wynosi 32. Koniecznem więc staje się wprowadzenie innej jeszcze metody — przyrostu ludności, jako różnicy pomiędzy liczbami narodzin i śmierci w odnośnych okręgach. Hainisch opiera swe rachunki na statystyce z lat 1881—5, która głosi, że roczny przyrost w okręgach niemieckich wynosił 5,17, w czeskich 10, w słoweńskich 7,7, w Tyrolu 5,9 na 1,000 mieszkańców. Jeżeli poprzedni szereg cyfr wskazywał zwycięztwa w przyszłości, to ostatni wskazuje zupełnie jasno, dlaczego już dzisiaj żywioł czeski wypiera zewsząd sąsiadów niemieckich, dlaczego miejscowości całe, dawniej „rdzennie" niemieckie, stają się obecnie czeskiemi. Jakie są przyczyny tak słabego z jednej, a tak potężnego z drugiej strony „reprodukowania gatunku"? — pyta Hainisch. Mogą one spoczywać albo w płodności kobiet, albo w ilości martwych urodzeń, albo w śmiertelności dzieci, albo wreszcie w liczebności małżeństw. Jeżeli atoli przyjrzeć się zblizka materyałowi statystycznemu, oświetlającemu pierwsze trzy z przytoczonych przyczyn, to okaże się, że nie wystarczają one zupełnie, aby wytworzyć w umyśle naszym pojęcie jasne. Nie możemy wchodzić w drobiazgowe rozumowania, chociaż one są teoretycznie bardzo ciekawe; wystarczy tutaj przytoczyć rezultaty badań, do jakich dochodzi Hainisch. Płodność kobiet zamężnych u niemców austryackich wydaje się wprawdzie mniejszą, jeżeli jednak wciągnąć w rachubę i ten fakt, że zazwyczaj wychodzą one za mąż później i wnoszą wraz z wianem małżeńskiem dzieci urodzone wcześniej, to różnica w stosunku do innych narodowości powinna zniknąć. Z drugiej strony dzieci prawe rodziców niemieckich wystawione są bardziej, niż czeskich lub włoskich, na niebezpieczeństwo wczesnej śmierci. Zależy to głównie od konieczności zarobkowania matek po za domem. Ta więc strata, którą przynoszą niemcy wskutek większej śmiertelności drobnych dzieci swoich, w małżeństwie zrodzonych, wynagradzaną bywa dzięki obfitości urodzeń przedślubnych i dzięki — statystycznie udowodnionej — słabszej, niż gdzieindziej, śmiertelności tych właśnie dzieci „nieprawych." W ostatecznym jednak obrachunku różnica pomiędzy płodnością kobiet zamężnych i śmiertelnością dzieci „w małżeństwie zrodzonych" nie objaśnia nam zupełnie zaniku ludności niemieckiej, gdyż czesi, którzy właśnie rosną liczebnie najszybciej, tak co do płodności kobiet zamężnych, jak i co do śmiertelności dzieci prawnie zrodzonych, najbardziej zbliżają się do niemców. A więc przyczyn szukać należy w częstości zawieranych małżeństw. Jeżeli porównamy zebrany materyał statystyczny, to otrzymamy następujące rezultaty. Z liczby 100 kobiet, znajdujących się w wieku „płodności" (od 15 do 45 roku życia), przypadało zamężnych na okręgi niemieckie 41,5, czeskie 52,8 itd. Jeżeli więc przy rozważaniu powyższych szczegółów otrzymaliśmy wyniki blizkie siebie, to tutaj różnica rzuca się w oczy. Nie jest to oczywiście odpowiedzią na kwestyę, którą rozważyć zamierzyliśmy, bo z pytaniem jednem wiąże się konsekwentnie drugie: gdzie szukać przyczyny tych różnic? Dlaczego niemcy żenią się rzadziej, niż czesi? Czy objawia się tutaj zanik sił żywotnych narodu? Ale na liczbę urodzeń wpływa jeszcze mnóstwo innych czynników, prócz zdolności rozrodczych. Czy dalej w większej śmiertelności dzieci nie należy rozumieć mniejszej zdolności do walki o byt? Z drugiej jednak strony wiadomo, że niemcy austryaccy żyją przeciętnie krócej od członków innych narodowości, składających barwny etnograficznie kobierzec monarchii. Tak tedy pozostaje już szukać tych przyczyn i ich rozwiązania w stosunkach społecznych, w układzie warunków ekonomicznych. One tylko mogą nam tutaj rozwiać nasze wątpliwości.

—nr.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

„Okruszyna marokańska" — jak by powiedział Bismark — po którą sięgnęło tyle rąk europejskich, usiłuje wyślizgnąć się ich pożądliwości. Po śmierci sułtana wybuchły niesnaski wewnętrzne między spadkobiercami tronu, które groziły długą wojną domową. Gdy jednakże marokańczycy usłyszeli, że tyle okrętów do nich płynie dla zabezpieczenia rozmaitych „interesów," doszli szybko do

---

wieczory takim zdejmują mnie strachem Zawsze sama, zawsze sama! A te okropne noce! Czy pojmujesz to, pani? Nigdy jeszcze nie rozstawaliśmy się z bratem—*wiem*, wiem ze wszelką pewnością, że on czystym jest, jak ja. W jaki sposób w życiu takiem wytrzymać może, on, mężczyzna? Więcej chyba jeszcze na tem cierpieć musi? Przesiadujemy tu tak razem, podczas tych długich, długich wieczorów, on ze swojem badaniem pisma klinowego, z którego nikomu nic nie przyjdzie, ja z moimi haftami, z których również nikomu nic nie przyjdzie, dzień w dzień to samo głupie, bezcelowe zmyślanie, ta sama głupia, udająca zajęcie poza. A potem, kiedy przychodzi wiosna, ileż to roboty z wytrzepywaniem i balsamowaniem całej tej lichoty, byleby ją tylko mole nie zjadły, ale nas niech mole jedzą, niech jedzą młodość naszą, i wiosnę naszą. i wszystkie nasze nadzieje kobiece, niech je zjadają mole i robactwo, rok w rok, żywcem... A kiedy już wytrzymać niepodobna, puszczamy się w podróżo. Ach, jakaż to rozkosz, podróże! Pomyśl pani tylko... Włochy i Szwajcarya i t. zw. Salzkamergut w elektrycznem oświetleniu, i Wenera Milońska, i Madonna Sykstyńska, odwieczne wzory kobiecości. Jak to podnosi ducha! Jaką rozkosz daje ciału i duszy! A potem jeszcze to błogie przeświadczenie o własnej, nieskalanej dziewiczości, idealna przyjaźń z ludźmi, zajmującymi wysokie stanowiska duchowe! O wierz mi, droga pani, miałam wszystko, cokolwiek z rzeczy pięknych i podniosłych od życia mieć można: widziałam cuda sztuki i przyrody Europy, Azyi i Afryki, z najznakomitszymi umysłami naszego czasu obcowałam na proszonych obiadach i kolacyach, pokazywałam się w żywych i nieżywych obrazach, uprawiałam miłość platoniczną, ale gdyby tak wykrzyczeć można całe to niedorzeczne, śmieszne kłamstwo podobnego życia! Nieszczęśliwą nie byłam nigdy, nie! Żyłam przecież w stosunkach najszczęśliwszych. Ale okpiwali mnie, okpili mnie kochający rodzice, drodzy nauczyciele, poczciwe przyjaciołki, korni wielbiciele. Dlaczego istnieje taki spisek, w którym wszystko, co jest, zaprzysięga się w tym celu, aby dziewczynę na jej życiu oszukać? Czy możesz mi pani powiedzieć, dlaczego skłaniają kobietę do tego, aby przez cały czas istnienia swego żyła surogatami i o surogatach marzyła? Czy pojmujesz to pani? Ja pojąć tego nie mogę. Ale raz przecież należałoby to wypowiedzieć; wypowiedziećby to powinna kobieta. Wiesz pani co?

Siedziała wyprostowana na kanapce, z drżącemi wargami i ujęła rękę moją w gorące swoje, wilgotne, delikatne palce:

— Pani powinnabyś to wypowiedzieć. Siądź i wypisz to, wypisz za nas wszystkie. Pani umiesz pisać. Ja próbowałam już nieraz, ale jakoś nie idzie. Napiszę—i wychodzą same tylko stare, martwe słowa. Ale pani masz tyle wyrażeń nowych i umiesz wypowiadać takie niby zupełnie niewinne rzeczy, od których dreszcz po skórze przebiega. Ja tego nie potrafię. Kiedy przychodzi do właściwego przedmiotu, boję się. Jakżebym później bratu i krewnym moim w oczy spojrzeć mogła? Ale pani... wiesz co... będę twoją współpracowniczką...

Zadzwoniono, wszedł służący, meldując. Panna śpiesznie posadziła mnie na kanapce i wyszła. Po chwili, przez napół otwarte drzwi jadalni ujrzałam małą, chudą, zakwefioną postać kobiety, która niedosłyszanym prawie szeptem, jak gdyby zaprzeczając czemuś ruchami, prawiła coś do panny, mnie jednak, o ile mi się zdawało, z oka nie spuszczała. Wkrótce panna weszła, zamykając za sobą drzwi od jadalni.

— Zostań pani — rzekła półgłosem — to stare widmo chce sobie tak samo czas uprzyjemniać. Nie chce się z panią widzieć, ponieważ nie odwiedziłaś jej, mimo żeś ode mnie o pobycie jej u nas wiedziała. Nadto bierze pani za zło, żeś nic o niej nie napisała, a jest przecież pierwszą kobietą, która kwestyę naszą poruszyła, a zatem do wdzięczności pani, jako kobiety, i zajęcia, jako autorki, rości sobie prawa; ale pani nie masz *ducha partyjnego*.

„Stare widmo" było istotnie jedną z najstarszych bojowniczek sprawy kobiecej i jedną z najstarszych, uzdolnionych autorek Europy. Gdyby nie to, że pisała w ję-

wniosku, że daleko bezpieczniej będzie pogodzić się między sobą, niż wytaczać sprawę przed sędziów, którzy bardzo drogo kazał by im zapłacić za koszta procesu. Prędzej też, niż się spodziewano i zanim jeszcze pancerniki obce stanęły na wodach marokańskich, Abdel-Azis został uznany sułtanem, o czem zawiadomiono gabinety europejskie. Zdaje się więc, że sposobność nałapania ryb w mętnej wodzie uciekła i to dzięki barbarzyńcom, których nikt o tyle rozumu nie posądzał.

Najkwaśniejszą minę ma Hiszpania, gdyż nie odebrała swej raty kontrybucyjnej, która ma leżeć gotowa w skarbcu, ale nie może być wypłacona, dopóki nowy sułtan nie wstąpi w swoje prawa.

Ministeryum hiszpańskie zagroziło parlamentowi swoją dymisyą, jeżeli ten nie uchwali traktatu handlowego z Niemcami. Od kilku tygodni bowiem między temi państwami rozpoczęła się wojna celna, w której — jak w każdej wojnie — zwycięża silniejszy.

Może w końcu tego tygodnia rozstrzygnie się ostatecznie kwestya ślubów cywilnych w węgierskiej Izbie magnatów. Prasa jednakże znowu zaczęła wątpić o zgodnem zakończeniu walki. Wekerle oświadczył, że zasadniczych zmian w projekcie nie dokona, a parowie odpowiedzieli, że pomimo nacisku ze strony cesarza wytrwają w swym uporze. Nie zdaje nam się, ażeby im tyle starczyło odwagi, tj. ażeby zachowali się buntowniczo wobec korony, której łaskami żyją i której blaskiem świecą. Nadto Franciszek Józef używa śród magnatów węgierskich wielkiej powagi osobistej, oni zaś rozumieją, że jeśli zadał gwałt swoim przekonaniom i rzucił na szalę swoje słowo, to widocznie dojrzał konieczność ofiary, a im poprostu nie wypada rozejść się w kierunku ze swoim monarchą. Chyba są przekonani, że on w głębi duszy rad jest z ich oporu *).

Spór o Kongo wygląda obecnie tak, jak gdyby Anglia porozumiała się z Niemcami a pretensye innych państw puściła mimo uszu! Ostatnie bowiem telegramy donoszą tylko o tej zgodzie, nie wspominając wcale o Włoszech, a zwłaszcza o Francyi, która najenergiczniej zaprotestowała przeciwko układowi anglo-belgijskiemu. Czyżby to znaczyło, że John Bull, mając za sobą Michela, będzie śmiało stawiał czoło innym?

Polityka naszych czasów pozostaje w bardzo silnej zależności od interesów ekonomicznych i wszystkiego, co na nie wpływa. Wszelkie zatem wypadki oddziaływające na dobrobyt społeczeństw, zdarzenia pomyślne i klęski przybierają charakter polityczny. A więc mają go olbrzymie bezrobocia w Sycylii, wybuchy gazów w kopalniach karwińskich (na Szlązku austryackim), gdzie zginęło kilkuset robotników, cholera, a wreszcie straszliwe powodzie. Wogóle rok bieżący pod względem ekonomicznym zapowiada się źle, a więc projekty podatkowe, które zwłaszcza w Niemczech i Włoszech gotują się do walki z powszechnem zubożeniem, tracą nadzieję zwycięztwa i zaostrzają starcie między parlamentami a rządami.

*) W ostatniej chwili telegraf donosi, że ustawa została przyjęta większością czterech głosów.

BADANIA NAUKOWE.

NAUKA CZY MISTYCYZM?

Mistycyzm nowoczesny przybiera formy nader oryginalne. Przypatrując się baczniej jego rozwojowi, przedewszystkiem zaś poruszanym zagadnieniom, niejednokrotnie znaleźlibyśmy się w niemałej trudności, gdyby od nas zażądano wyznaczenia, gdzie się kończy nawskroś pewna i ustalona dziedzina psychologii fizyologicznej, a rozpoczyna się sfera transcedentalności albo wprost maligny prostaczego umysłu. Granice te zostały zatarte, tak, iż chcącemu poznajomić się z ostatniemi dążnościami i poszukiwaniami w zakresie psychologii, niełatwo spostrzedz, kiedy schodzi z ubitej ścieżki pozytywnego faktu i zbłąka się na manowcu. Nadto próby rozszerzenia badań naukowych na pole, które dotychczas uchodziło za niepodatne dla tych celów a nawet za nieistniejące dla wiedzy, bynajmniej nie noszą na sobie jakiegoś dorywczego charakteru. Nic! Studya, o których mówić zamierzamy, zwolna oswobodziły się od tego bajania, z jakiem tego rodzaju opowieści nawykliśmy łączyć w naszym umyśle. Metoda pozytywna, jaka istnieje chociażby w fizyce, oraz krytyczna ocena faktów, właściwa najnowszej szkole historycznej, zapanowały tam w zupełności. Obecny transcendentalista-mistyk co do swej metody ma zupełne prawo powiedzieć, że zastosował empiryczny pozytywizm do pytań, uchodzących za niepoznawalne.

Właśnie korzystając z prac londyńskiego towarzystwa psychicznego — *Society for psychical researches*, zatrzymamy się obecnie nad szeregiem faktów, które materyalistycznie myśląca grupa członków wiąże ze zjawiskiem działania myśli na odległość. Drożyna, po której pójdziemy, jest z początku zupełnie pewna: nazwiska badaczów ręczą za sumienność, sposoby dokonywania studyów mogą zadowolić nawet najwybredniejsze wymaganie. Metoda później nie zmienia się, nawet nazwiska, z któremi spotykamy się na pierwotnym gościńcu, występują na drogowskazach dalszej podróży, ale ścieżyna poczyna jakoś skręcać na manowce.

Przedewszystkiem jednak, czy istnieje działanie mózgu na mózg z odległości? Innemi słowy, czy idea, istniejąca w jednej jaźni, może, w sposób wykluczający przypadkowość, być wykrytą i odgadniętą przez inny mózg bez udziału pośrednich czynników fizycznych? Jaki zaś jest mechanizm tego oddziaływania, to w danym razie stanowi rzecz zgoła obojętną. Ktoś usiłował znaleźć analogię w świecie fizycznym; więc przyrównywa mózgi do dwóch instrumentów muzykalnych, z których jeden, zmuszony do wydawania dźwięków, obudza od czasu do czasu samodzielnie pojedyncze tony w drugim, bezczynnie spoczywającym. Mniejsza zresztą o wytłomaczenie zjawiska; dosyć na razie tego, że fakty, obecnie znajdujące się w rozporządzeniu wiedzy, nie tylko uprawniają do postawienia takiej kwestyi, lecz nawet czynią prawdopodobnem ideowe współdrganie dwóch mózgów bez pośrednictwa widomych czynników fizycznych. Rozważmy np. poszukiwania Karola Richeta. Ktoś obierał jakąś kartę, a ktoś inny, w stanie normalnej trzeźwości umysłowej, odgadywał ją. Wyniki swoich studyów uczony francuski ogłosił w *Revue philosophique*, a streścił je w sposób następujący: 1) idea

---

zyku zrozumiałym dla kilku milionów, dla małego kraju, byłaby na stare lata, spocząwszy na laurach, udzielała uroczystych audyencyj: tymczasem nieznana, nieśmiała, zgorzkniała, kręciła się po Berlinie, siadając w tylnych pokojach swoich znajomych.

A przecież jako kobieta i jako literatka bogate miała życie za sobą. Książka jej, będąca pierwszym okrzykiem sygnałowym z „obozu niemych,“ była dla pewnego prawdziwie *wielkiego* poety bodźcem do stworzenia całej literatury o stanowisku kobiety i dzięki tej pracy *on* stał się osią literackiego i etycznego zajęcia całej Europy. Jako żona wybitnego polityka, który ją szanował i kochał, jako matka zdrowych synów i córek — poszukiwana i wielbiona, jako kobieta inteligentna, jako długoletnia przyjaciołka ludzi, stojących u steru jej kraju, jako przedmiot młodzieńczej miłości jednego z tych właśnie prowodyrów, który pozostał nieżonatym, miała w swem treści pełnem życiu wszystko, co w ogólnem mniemaniu stanowi szczęście kobiety. Najpierw romantyczną, godną miłość lat młodych, potem wzorowe, czynne dni małżeństwa, dobre dzieci, szacunek, uznanie, wpływ na największe umysły, poważanie w społeczeństwie, liczne potomstwo, wśród którego spędziłby mogła spokojną starość.

A tymczasem kobieta ta, niby duch zbłąkany, wędruje z miasta do miasta, rzuca jedną znajomość dla drugiej, nieznośna, samotna, bezzaradna, szukająca... wciąż szukająca jakiegoś nieznanego, straconego szczęścia młodości, któremu nadaje nazwy i formy fantastyczne; szuka go w starych swoich, zżółkłych listach, w niejasnym stosunku do owego inteligentnego, dawno zmarłego dziwaka, rozgoryczona przeciwko swojemu, również nieżyjącemu już mężowi, obojętna dla swoich żyjących dzieci, krążąca ustawicznie wokoło własnego, skurczonego *ja*, zawzięta, zgryźliwa, przedstawiająca dziwną sprzeczność między tem, co miała, a tem, czem jest...

Młody człowiek, zabrany poprzednio przez uczonego brata panny, wślizgnął się napowrót do saloniku. Siedli znowu naprzeciw siebie, pod lampą i zaczęli filozofować na temat zadowolenia. Młodzieniec przypuszczał, jako fakt sam przez się zrozumiały, że panna była zawsze, jest i będzie zadowoloną. Panna, jasna, różowa pod różowem światłem lampy, uśmiechała się i nie przeczyła. A podczas gdy on, zaznaczając dyskretnie wewnętrzne walki i zewnętrzne troski ubogiego docenta teologii, obejmował ją rozmarzonem, niedyskretnem spojrzeniem, ona spoglądała na niego ukradkiem, chciwie, z przyzwoitą kokieteryą. Mimo to o „starem widmie,“ siedzącem w sąsiednim pokoju, pamiętała. Napół szeptem opowiedziała historyę życia „kobiety i autorki,“ stwierdzając opowieść cytatami z dzieł „tej sławnej i szczęśliwej“ — a dzieła te w całkowitym zbiorze spoczywały na staroniemieckim stoliku, obliczone na wizyty autorki. A gdy tak coraz dłużej, otwarciej oczy swoje w źrenicach młodzieńca zatapiała, rozmowa kręciła się koło rozkoszy i wstrzemięźliwości, koło braku zadowolenia, wytwarzanego przez celibat i koło braku zadowolenia, otrzymywanego w miłości małżeńskiej i nie-małżeńskiej, aż wreszcie, wśród słodkich spojrzeń, rozpłynęła się w literackim pesymizmie.

Podniosłam się i wyszłam. Szłam przez ulice, wieczorną ciszą ciche, a w uszach brzmiał mi wołający o pomoc jęk męczonej kobiety, która tu i owdzie zsuwała maskę „uobyczajonej kobiecości“ i „skończonej damy.“ Tutaj słyszałam i pojęłam go po raz pierwszy; lecz odtąd ze sfery „wysoko rozwiniętych“ warstw kulturalnych dochodził mnie ten prosty pradźwięk w chórze ostrych, nieczystych, fałszywych tonów, przez okrycia, i osłonki, i spaczenia piekielny koncert na marnych, rozstrojonych, połamanych instrumentach — a wśród tego jeden jedyny czysty, długi, skarżący się, wabiący ton.

(D. c. n.).

może być poddawana na odległość działaniem woli, 2) zdolność odgadywania jest właściwą różnym osobom nie w jednakowej mierze. Richet do swoich poszukiwań zastosował teoryę prawdopodobieństwa. Gdyby odgadywanie odbywało się bez poddania myślowego i oddziaływania mózgów, wtedy liczba szczęśliwych wypadków nie powinna przewyższać pewnego procentu, wyznaczanego przez teoryę wielkich liczb. Jeżeli jednak stale okazuje się jakaś przewyżka po nad liczbę przepowiadaną przez rachunek prawdopodobny, naówczas trzeba ją położyć na karb nowo wprowadzonego a niezbadanego czynnika — świadomej suggestyi. Otóż Richet twierdzi, że z ogólnej ilości wypadków, badanych u osób, niezdolnych do uśpienia hypnotycznego, aż szesnasta część pochodzi z działania wpływu poddawczego. Bywało niekiedy odgadywanie wyrazów, złożonych z wielu głosek, i tam, gdzie teorya prawdopodobieństwa przyjmuje jeden dodatni wypadek na miliard doświadczeń, właśnie pod wpływem poddania ów rzadki rezultat bywał otrzymywany. Jak rzekliśmy, powyższe próby czyniono na zdrowych — ściślej mówiąc — normalnych osobach. Na sonnambulistach wypadły one jeszcze pomyślniej. Faktów w tej mierze jest tyle, przytem tak systematycznie otrzymanych i z zachowaniem takich ostrożności, że wiarogodność zjawiska dla mnie osobiście jest niewątpliwą. Sonnambulistom myślowo poddawano złożone czynności, kazano opisywać miejsca, nieznane uśpionemu, a które miał w myśli poddający. Osoby badane wywiązywały się z zadania wybornie. Owo „jasnowidzenie,“ o którem krążą różne legendy, jest niczem innem, jeno odgadywaniem cudzych stanów myślowych, niby współdrganiem dwóch mózgów w jednym tonie idejowym Niekiedy współdrganie dotyczy nieświadomej cerebracyi mózgu, tak, iż sonnambulista odgaduje ukryte i niejawne myśli, co dla osób zabobonnych nadaje całemu objawowi efekt czynu nadprzyrodzonego. Co więcej — w tym razie idziemy już po nieco pochyłej acz względnie jeszcze dość pewnej drodze—owo oddziaływanie z odległości na mózg sonnambulistów możliwe jest na wielkiej przestrzeni. Francuski *Przegląd filozoficzny*, wydawany przez Ribota, swojego czasu umieszczał sprawozdania z doświadczeń doktora Janeta w Hawrze na bardzo znacznej odległości — kwadrans drogi.

Są to fakty ustalone. A teraz zanim pójdziemy dalej, musimy potrącić jeszcze o inny szereg objawów, również niewątpliwych. Zahypnotyzowanym osobym poddawano rozkaz, że tego a tego dnia na jawie mają widzieć w danem miejscu takie lub owakie przedmioty. Poddane złudzenie subjektywne występowało — osoba widziała, odpowiednio do rozkazu, rzeczy które nie miały żadnego przedmiotowego oparcia. W tej liczbie też poddawano postacie ludzkie, doświadczenie zaś to udawało się na równi z innemi. Ktoś widywał obok siebie osobę, którą kazano mu we śnie hypnotycznym ujrzeć o tym to lub innym czasie. We wszystkich tych wypadkach idea uzewnętrznia się, z formy czysto abstrakcyjnej przyjmuje halucynacyjno-zmysłową. Otóż ktoś wpadł na myśl robienia podobnych suggestyj na odległość względem osób, znajdujących się w stanie czynnym. Mamy w wydawnictwie towarzystwa londyńskiego kilka prób podobnej natury. Pogrążano np. poddawacza we śnie hypnotycznym i kazano mu odpowiednio oddziaływać na mózg osoby, znajdującej się w pewnej odległości, ażeby ujrzała jego postać, tj. uzewnętrzniła w sposób halucynacyjny poddaną ideę — osoba obrana istotnie ujrzała poddane widmo. Doświadczenie to powtórzono parę razy z powodzeniem. W innym znowu szeregu prób, podjętych niezależnie od poprzedniej, poddawano ideę błyszczącego krążka; mimo odległości 400 wiorst(?) rezultaty były takie, że zanim odważymy się zaprzeczyć ich wiarogodności, winniśmy dobrze się zastanowić. Wspomniane fakty wybiegają już po za wszelkie utarte w dotychczasowej psychologii gościńce. A jednak są one dopiero wstępem do dalej idących poszukiwań. Mianowicie wobec ostatnio wspomnianych doświadczeń, towarzystwo londyńskie — zaznaczmy z góry, że jest ono dość skłonne do mistycyzmu — zamyśliło podjąć ankietę celem zbadania wiarogodności anegdotek o ukazywaniu się widm osób umierających krewniakom i przyjaciołom. Wydelegowano kilku lekarzy, którzy zaczęli zbierać krążące gadki, zapomocą krzyżowych zapytań wikłać zeznania świadków i oceniać wiarogodność pojedynczych opowieści. Niektóre z nich wylegitymowały się o tyle, że ankieta nie mogła ominąć ich z lekceważeniem. Rezultaty zostały ogłoszone w książce, przetłomaczonej przez J. P. Potockiego na język polski. Ukazywanie się twarzy i nawet całych postaci osób umierających, czyli tak zwane zjawiska telepatyczne przybrały pozór prawdopodobieństwa. Najbardziej pozytywna psychologia musi się liczyć z tymi faktami, przynajmniej nie wolno jej już poprzestać na prostem przeczeniu. Zresztą wśród zwolenników znajdujemy materyalistów najczystszej krwi. Naturalnie, nie przyjmują oni realności owych widm, ale objawy te objaśniają wzajemnem działaniem mózgów na odległość.

Występują tutaj te same czynniki, które działają w doświadczeniu z kartami, oraz w hypnotycznem poddaniu ujrzenia kogoś na jawie — tylko że kombinacya, w jakiej one występują, jest bardziej złożona i co za tem idzie — daleko rzadsza.

I znowu jakkolwiek zostaliśmy już zaprowadzeni na manowce, nie dosięgliśmy jeszcze ostatniego kresu naszej drogi. Ci sami badacze-mistycy, którzy odważyli się wnieść do nauki i w sposób pozytywny postawić kwestyę zjawiania się widm, idą jeszcze dalej, bo postanowili zwrócić się do zbadania, czy tkwi jakaś prawda w podaniach o pokutujących duchach. Doktorzy Myers i Podmore zajęli się znowu zbieraniem i oceną wiarogodności zebranych faktów. Zachowując możliwe ostrożności i odrzucając wszystkie wypadki, cokolwiek podejrzane, przyznali przecież prawdopodobieństwo kilku. Myers wyjaśnia te zdarzenie w sposób bardziej transcedentalny, ale Podmore daje tłomaczenie, stojące na gruncie czynników znanych. Przypomina fakty nieświadomej pamięci i nieświadomej działalności mózgu, kiedy np. nazwisko, o którem na razie zapomnieliśmy i mimo chęci nie zdołaliśmy go wkrzesić w pamięci, wypływa żywiołowo po niejakim czasie i niekiedy prześladuje kogoś w ciągu kilku dni. Otóż, zdaniem wspomnianego poszukiwacza, umierający oddziałał na czyjś mózg z odległości i wyrył w nim ideę swojej osoby z pewnemi akcesoryami. Idea ta pozostaje w mózgu i działa od czasu do czasu, uzewnętrzniając się w sposób zmysłowo-halucynacyjny. Co więcej, złożona w spichlerzu mózgowym idea może być udzielana od jednej żyjącej osoby do drugiej i wywoływać odpowiednie niby-przedmiotowe widzenia. Legenda o pokutującym duchu zyskuje grunt faktyczny.

Poprzestajemy na powyżej przytoczonem, chociaż do podanych prób moglibyśmy jeszcze dodać inne, np. fotografowania myśli ludzkich — idea, która zrodziła się w Ameryce północnej i była rozbierana na posiedzeniach towarzystwa bostońskiego (nic bliższego o niem nie wiemy, co jest rzeczą niezbędną, jeżeli chcemy nadać jakieś znaczenie faktowi, gdyż w Ameryce szarlatanerya zmusza do takiej ostrożności). W tym razie owe halucynacye, mimo swojej podmiotowości, jak twierdzą mistycy, mogłyby być fotografowane. Zresztą nie idzie nam o fakty, ani o badanie, czy nie dostaliśmy się na zupełne manowce Chcemy jedynie zwrócić uwagę na naturę podnoszonych zagadnień oraz na kierunek, w jakim prowadzone są studya. Może właśnie ta okoliczność jest rzeczą najcharakterystyczniejszą. Zagadnienia, które przed dziesiątkiem lat byłyby wyśmiane, zostają podjęte w sposób naukowy. Mogą okazać się przywidzeniami, ale ów prąd, którego są objawem, świadczy o bardzo silnym przełomie w umysłowości naszego wieku.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NORWESKA.

Knut Hamsun, *Ny jord* (Nowa ziemia). Kopenhaga, 1894.

Nie jest to „Nowa ziemia“ Turgeniewa, powieść o zakończeniu Wertherowskiem, pełna smutku, melancholijna, jak krajobraz jesienny. Osoby utworu Hamsunowskiego nie płoną gorączką czynu. Widmo niezadowolenia nie płynie przez ich dni, a wystrzał pistoletowy, i tu rozlegający się, wywołany został innemi w znacznym stopniu pobudkami.

Sama różnica wieku piszących dwa utwory mogła wpłynąć na odmienność. W Bougival pod Paryżem pisarz ruski przestępował próg starości, gdy opracowywał ostatnią większą powieść. W serce zakradła się tęsknota, pokolenia zaś, które weszły niedawnymi czasy na widownię, różniły się od tych, wśród których zbiegła jego młodość. Wybitny twórca nie podzielał nowych entuzyazmów, a obawy swe i smutki skrystalizował w powieści.

Knut Hamsun liczy lat trzydzieści, zetknięcie się jego z młodzieżą spółczesną musiało być energiczniejsze, antagonizmy lub sympatye — żywsze. I utwór, który miał streścić stosunek autora do rowieśników, zapowiadał się jako entuzyastyczny lub... satyryczny.

W żółci też maczano pióro utalentowanego norwegczyka, a nowa ziemia, czarna, żyzna, to młodzi pisarze, którzy „podbili“ Europę. Nie tak świetną okaże się, gdy do rąk ją wziąć i z dłoni do dłoni przesypać. Sporo gliny, sporo piasku, blada. Czy na każdym kawałku zazieleni się bujnie jarzyna?

Osnowa bardzo prosta.

Cienka, złota krawędź metalowa podnosi się tam na wschodzie, gdzie słonko wstaje. Miasto budzi się, wozy poczynają w dali turkotać, chłopi śpieszą z żywnością — port śpi. Otwierają się pierwsze składy, cicho drzwi skrzypią, w magazynie jęli krzątać się ludzie wśród pak i worów.

Młody, pełen nadziei mężczyzna idzie drogą, w trzewikach z lakierkami, z wąsem zakręconym, w błyszczącym kapeluszu. Dwa lata temu ogłosił wielki dramat liryczny. Nie spał tej nocy, bo mógł uraczyć się kosztem przyjaciół. Z pogardą patrzy na chłopów, którzy wołają nań, sądząc, że kupi kilka sztuk bydła. Ruch na ulicach wzrasta, robotnik ciągnie wóz z pakunkami, dziewczynka chora na taniec św. Wita roznosi pisma. Piły zgrzytnęły w tartakach, statki świszczą.

To Irgens. Przechodzień niedbale rzuca wzrok na otoczenie, przeszedł mimo sklepu Oli Henriksena. Zajrzy — Ole zawsze starem winem częstuje i pieniędzy pożycza. Wypija u niego ćwierć butelki, a resztę, czy można zabrać? Można, odpowiada Ole. Chowa flaszkę do kieszeni, potem ze

sklepu bierze jeszcze garść palonej kawy „na zły oddech.“

W południe pan Irgens z całą kliką przechadzają się po mieście. Jest tu Paulsberg, który napisał kilka powieści i rozprawę naukową o odpuszczeniu grzechów, malarz Milde, gruby i głupi; adwokat Grande, miłe zero; artysta dramatyczny i kilku innych.

— Pożycz koronę — zagadnął poetę Milde. — Porządnie chce mi się jeść.

— Musisz sobie poszukać jakiego kramarza. Naciągnąłem dziś jednego na flaszkę koniaku.

— To wspaniale doprawdy, że mamy tych kramarzy. Czasami przydają się.

— Za to, że im, kupczącym kawą, drzewem i śledziami, otworzy się wstęp do świetnego koła poetów i artystów, niechaj płacą. Nie zaszkodzi też od czasu do czasu przypomnieć im, że są „kramarzami.“

Znalazł się jeden, Tidemand. Irgens oczarował jego żonę wymuskanymi wąsami — o czem Tidemand naturalnie nie wie — teraz kupiec prowadzi zgłodniałą rzeszę na obiad. Cieszy go, że może przyjaciołom służyć.

To życie pieczeniarskie oblęczone pozłotą: jest się wielkim talentem, przynosi się chlubę ojczyznie. „My jej dodajemy blasku.“

Z wioski Thorahus Ole Henriksen przywozi narzeczoną Agatę. Zdaje mu się, że słonko wejrzało do jego domu; gdy walczy z zastępami liczb, ona siedzi przy nim w kantorze i patrzy swym szczerym, dziecięcym wzrokiem. Bierze ją za ręce, dziwi się, że tak małe.

Poeta Irgens zaprasza Agatę na wystawę malarską, potem na muzykę. Ach, jaki ona ma chód — spostrzega w drodze. Jaki piękny chód!

Dziewczyna rumieni się i śmieje.

Następnym razem jadą na wyspę. Tu następuje wyznanie miłosne. Nowy spacer i gwałtowniejszy wybuch płomieni. Nareszcie Agata oddaje się piewcy, a Oli zostawia list, że czuje się winną wobec niego, kocha go zawsze, ale zrywa, splamiwszy swe uczucie.

Ole przyjmuje wiadomość na pozór spokojnie. Wróciwszy z Londynu, dokąd wzywały go sprawy handlowe, jeszcze energiczniej bierze się do rachunków, aby zgnieść smutek. Lecz ból nurtuje pierś i niby wykuwa minę. Pewnej nocy „kramarz“ pieczętuje kilka listów, dobywa z biurka jakiś nieduży przedmiot, a rano znajdują go zabitego na podłodze.

Irgens żyje spokojnie, obiera Agatę z mienia, aby potem puścić ją z kwitkiem, używa szacunku w klice i poczytywany jest za jedną ze wstęg na piersiach ojczyzny.

Około tego drucika, jak kwiaty sztuczne, nawijają się obrazy otoczenia, psychologia Irgensa i osób ubocznych. W psychologii i rysunku spoczywa największa wartość dzieła Hamsuna. I w stylu miękim, jak jedwab.

Noce spędzają się na cudzy koszt w restauracyach, z dumą wychodzi całe grono na ulicę. Gorące dyskusye o polityce i estetyce, lekceważenie wzajemne, dowcipy cyganeryi. Wspaniale wykonane są sylwetki dziennikarza Gregersena, Paulsberga, Mildego. Przytem zachował autor bardzo oględnie miarę, nigdzie nie wpadając w przesadę; wystarcza mu dokładne przedstawienie.

Obok Irgensa, który uwalnia się od płacenia komornego wdzięcznymi ukłonami właścicielce i biegnie przez pół miasta, aby wyprzedzić wóz pani Grandowej, której mąż może poprzeć go w prośbie o stypendyum, obok kliki zarysowują się postacie sympatyczne: Hanka, żona Tidemanda, kobieta dobra i serdeczna, szczera w swej miłości dla Irgensa, lecz umiejąca ocenić męża po zerwaniu stosunku przez poetę. Agata, dziecko naiwne i przedewszystkiem nierozważne. Tidemand uczciwy i dzielny, chociaż dziegieć sprzedaje wytwórcom hiszpańskim. Ole, typ szlachetny z krwi i kości. Pomaga przyjacielowi w niedoli, nie skąpi grosza dla cyganeryi, współczując z nią, unosi się czasami, ale nie ma przewrotności, ani fałszu. Coldevin dziwak i śmieszny, z odrobiną sympatyczności, nadto trafnie oceniający towarzystwo artystyczne. W końcu Ojen, młody poeta, różny od towarzyszów, z bladą twarzyczką, nerwowy, od czasu do czasu przynoszący śliczne poezye prozą. Szereg tych osób, a zwłaszcza paradoksalny, z prowincyi dobyty, pełen ciasnych poglądów Coldevin dowodzi, że Knut Hamsun nie patrzył na życie pesymistycznie, ani złośliwie i obok ludzi obłoconych spostrzegł czystych.

Piękne opisy ranków i wieczorów miejskich zdradzają w autorze „Głodu“ duszę głęboko-poetyczną. Talent jego jaśnieje zwłaszcza w dołączonych do powieści poezyach prozą, przypisywanych Ojenowi. Oto utwór znamionujący wielkiego poetę, p. t. „Dawne wspomnienia.“

Raz nocą, gdy znajdowałem się w lesie, zstąpił do mnie Jehowa. Leżałem na obliczu i modliłem się. Mrok czerniał w koło, wicher zawył: „Ty wołasz mię?“ pytał Jehowa.

— Tak, wołam w swem utrapieniu.

— Chcesz wiedzieć, co wybrać w życiu: piękno, miłość, czy prawdę?

Nie odpowiadałem, bo on znał me myśli.

Jehowa dotknął moich oczu i widziałem: Wysmukła kobieta stała przede mną bez szat, a gdy poruszała się, drżało jej ciało, jak biały jedwab; oczy jej podobne były do dwóch kwiatów błękitnych, nurtujących duszę. Otworzyła usta, słyszałem niby morze wieczorne fosforyzujące w cieniach. Słońce oblewało ją światłem purpurowem. Powstałem z ziemi, wyciągnąłem dłonie i padłem w jej objęcia, przywierając powieki.

Gdy spojrzałem znowu, kobieta była stara. I życia w niej prawie nie było, włosy wypadły, a słońce znikło, noc tylko dokoła. Obejrzałem się. Chciałem znowu skierować wzrok swój na nią, już jej nie było.

— To piękność, rzekł Jehowa.

Potem dotknął mych źrenic i ujrzałem: Na tarasie zamkowym stali mężczyzna i kobieta, oboje młodzi, pełni miłości. Promień słoneczny całował ich, następnie padał na dno przepaści przed zamkiem, kędy mknęła drożyna. „Widzisz ten kwiat, który dałaś mi — mówił — i on przeniknięty miłością ku tobie. Podaj rękę, niech do serca przycisnę.“ Przycisnął ją, a wejrzawszy w przepaść szeptał: „Rzuć wachlarz w dół, skoczę za nim i przyniosę ci.“ Wyciągnął ramiona, gotów do skoku.

Zwarłem powieki, otworzywszy widziałem ich oboje. Znowu na tarasie zamkowym, lecz starsi byli, w sile wieku. I nie rozmawiali z sobą, milczeli, a niebo było siwe i ich oczy wypełniała obojętność, nawet nienawiść. Wchodzili na schody; jej wypadł wachlarz z dłoni. „Podejm go mój drogi, patrz o jeden stopień tylko niżej“ — prosiła. Lecz on nie odpowiedział i na sługi zawołał, aby pani podali wachlarz.

— To miłość — mówił Jehowa.

Zobaczyłem teraz prawdę.

Na placu wznosiło się rusztowanie i w około tłumy szumiały jak fale i szczerzyły zęby z radości. I ujrzałem człowieka związanego rzemieniami, zbrodniarza z dumną, piękną twarzą i oczyma jak gwiazdy. Ale na ciele łachmany miał i nogi były bose, a łachmany podarte i zniszczone.

Słuchałem, doleciał mię głos, wzniosłem oczy: on mówił. Mówił zawzięcie, tłum kazał milczeć, on mówił. Ryczał, on nie zamilkł. Tłum rzucił się na niego, ścisnął usta, ale oczy przestępcy patrzyły jeszcze ku słońcu i ręce szamotały się. Wtedy tłum znowu przyskoczył, uderzył go i głowę pochylił ku rusztowaniu. Błysnął topór w powietrzu, szczęknął, rozległ się okrzyk z tysiąca piersi. Głowa upadła na ziemię, a oni za włosy wznieśli ją w górę.

I głowa tego zbrodniarza wciąż mówiła i głośno wypowiadała prawdę. Gdy zaś tłum chwycił za język i wyrwał go, oczy jeszcze błyszczały, jak dwa ognie, tak oczy błyszczały.

To była prawda.

Upadłem znów na ziemię i myślałem, a myśli ścierały się, walczyły. Dwakroć pytał Jehowa, co wybieram, nie odpowiadałem. Po raz trzeci zapytał; wówczas podniosłem głowę i rzekłem:

„Wybieram prawdę.“

W. Bugiel.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z PARYŻA.

Otwarcie wystawy w Lyonie. — Wystawa przyrządów fizycznych w Paryżu. — Nowe przyrządy fotograficzne, elektryczne, meteorologiczne. — Kolej elektryczna między Paryżem a Mantes. — Nowy most na Sekwanie. — Lekcya wstępna profesora Landouzy.

Z nastaniem wiosny rozpoczęła się pora wystaw i kongresów. W ostatnich dniach kwietnia otwarto wystawę w Lyonie, liczne salony i saloniki paryskie nie przestają wabić tłumu ciekawych widzów, zjazdy Towarzystw uczonych prowadzą ożywione rozprawy. Towarzystwo fizyków francuskich urządza doroczną wystawę nowych przyrządów i ulepszeń, obmyślanych w ciągu roku. Dawniej elektryczność zajmowała pierwsze miejsce, obecnie zacieśnia swe granice i coraz więcej ustępuje miejsca sztuce fotograficznej. Fabryka Charpentier okazała w tym roku wspaniałe przybory fotograficzne, od najprostszych do najbardziej złożonych. Wszelkie przyrządy, wychodzące z tej fabryki, opracowane są z największą ścisłością, cierpliwością i znajomością przedmiotu. Widzimy przyrząd chronofotograficzny Mareya i jego najnowsze zastosowanie do ruchu płynów. Dotychczas ruchy płynów znane były tylko w ogólnych zarysach, przedstawiano poruszanie się cząsteczek wody przy obrocie koła młyńskiego lub posuwaniu się statku parowego tylko w przybliżeniu; dzięki przyrządowi Mareya ruchy te schwycić się dają — że tak powiemy — na gorącym uczynku. Rozmaite przyrządy Francuskiego Towarzystwa fotograficznego odnoszą się przeważnie do sprawdzania i kontrolowania. Fotografie oka p. Guilloz zasługują na uwagę, oceniamy całą ich doniosłość w rozlicznych chorobach, gdyż pozwalają dokładnie zbadać oko, nie męcząc wcale chorego. Fotografie ruchów powietrza wymagają nadzwyczajnej szybkości, chwila zdjęcia nie powinna przewyższać milionowej części sekundy. Wymienić można w tym względzie prace pp. Mach, ojca i syna, którzy po raz pierwszy odfotografowali pędzącą kulę oraz *fale głosowe*. Fotografie kolorowane, otrzymane przez Lumière'a, dzięki genialnemu pomysłowi prof. Lippmana, wykazują olbrzymi postęp na tem polu, a odbitki są tak piękne, iż kolorytem swym nieledwie prześcigają naturę.

Z innych przyrządów wymienić też należy turbiny Lavela, mające wielką przed sobą przyszłość, w warunkach nader ekonomicznych dające przemianę energii pary na pracę, dzięki nadzwyczajnej szybkości obrotowej (400 razy na sekundę). Zasługuje dalej na zaznaczenie przyrząd

Pellata, zabezpieczający od spotkania się pociągów, model kolei żelaznej elektrycznej Limba i cynemograf Richarda, zapisujący najmniejszą zmianę w szybkości machiny parowej. Meteorologia i geologia miały też swe przyrządy: sztuczny gejzer, urządzony przez p. Viole'a dla wykładów, wyrzucający co dwie minuty kolumnę wrzącej wody; anemoskop Richarda, zapisujący 128 kierunków wiatru, sonda morska Farée'go, dająca miarę wypukłości dna morskiego, hygrometr Bichota. Ogólną uwagę zwracały flaszki, flakoniki, epruwetki i inne naczynia, wykonane z nowowynalezionego szkła; wytwór ten, sprodukowany zaledwo przed dwoma miesiącami przez Schotta, dyrektora laboratoryum w Jenie, znajduje się obecnie w handlu całego świata ucywilizowanego, posiada nad zwyczajnem szkłem tę przewagę, iż nie pęka w wysokiej temperaturze. W oddziale elektryczności spotykamy kilka przyrządów, zastosowanych do przemysłu; narzędzia miernicze lorda Kelvina i przyrząd do mierzenia energii pp. Dujardin, Meylan i Rechniewskiego. Wystawa daje dobre wyobrażenie o rozwoju wszystkich gałęzi fizyki z roku ubiegłego, nie ogarnia jednak całości; poświęcona wyłącznie przyrządom, z konieczności pomija wszelkie prace teoretyczne.

Ponieważ mowa o wynalazkach, wspomnijmy o pierwszej próbie kolei elektrycznej między Paryżem a Mantes. Chodziło o pokazanie kilkuset osobom wybranym całej potęgi machiny elektrycznej Heilmana. „Train-fusée" uniósł podróżnych z szybkością 80 do 105 kilometrów na godzinę, spokojnie, bez niemiłych wstrząśnień, właściwych zwykłym kolejom żelaznym. Można spokojnie odpoczywać lub zajmować się czytaniem. Próba powiodła się pomyślnie i zadowoliła najwybredniejsze wymagania.

Okolice Paryża zaludniają się coraz bardziej, stolica rozszerza się aż za fortyfikacye; ludność stolicy od kilku lat pozostaje prawie bez zmiany, nie przewyższa 2½ miliona, natomiast departament Sekwany, liczący w r. 1881 tylko 530,000 mieszkańców, w roku 1886 — 610,000, obecnie posiada ich 700,000. Skutkiem tego wzrostu należało pomyśleć o nowych mostach na Sekwanie i Marnie. Komitet rady powierzył w r. 1890 te przedsiębiorstwa inżenierowi dróg i komunikacyj, Launayowi, na ogólną sumę 1½ miliona franków.

Dawny zwyczaj nakazuje profesorowi, obejmującemu katedrę w lekcyi wstępnej wygłosić swe ogólne zapatrywania i teorye. Na początku naszego stulecia wykłady te były wypadkiem roznamiętniającym umysły i prowadzącym do zaciętych polemik. Obecnie przeszła już faza wojownicza w nauce, teorye animizmu, witalizmu, organiczna, fizyologiczna i inne dawno już przebrzmiały, nie dlatego, aby kwestye były już wyjaśnione, lecz że nastała chwila względnego spokoju, być może nawet obojętności. Wobec szybkiego ruchu naukowego naszej epoki, niema wprost czasu długo zatrzymywać się nad teoryami; fakty, dziś zaledwie dojrzane, jutro bywają dowiedzione. Posiadając umysł „otwarty dla wszelkiego postępu," czekamy cierpliwie, co nam powie jutro. Lekcye wstępne wybitnych profesorów, poświęcone ogólnym teoryom, rzucają częstokroć ciekawe światło na pewną gałąź wiedzy i pozwalają oryentować się w tej powodzi nowych odkryć, faktów, wynalazków, jakimi szczyci się koniec naszego stulecia. W terapii np. panuje ogromne zamieszanie wobec niezliczonych prawie nowych metod leczniczych. Prof. Landouzy, obejmując katedrę terapii w paryskiej szkole medycznej, pierwszą lekcyę wypełnił metodą seroterapii (wstrzykiwania serum), rokując jej świetną przyszłość. „Kto z pomiędzy was, słuchacze, zdoła zwalczyć gruźlicę metodą seroterapii, czy doświadczać będzie w szpitalach, czy w laboratoryach, zdobędzie najwyższą chwałę i nazwisko jego umieszczone zostanie obok nieśmiertelnego Pasteura."

J. Jot.

CHŁOP RUMUŃSKI.

W tegorocznym „Almanachu dla ludu rumuńskiego" dr. Stefan Petrescu (pseudonim) nakreślił tak prawdziwy i w tragizmie swym piękny a ponętny obraz idylli wiejskiej, w jakiej rodzi się, żyje i umiera chłop rumuński, że trudno oprzeć się pokusie i ofiarować jego słabą i niekolorowaną kopię czytelnikom naszym. Zanim przystąpimy do niej, zaznaczymy przynajmniej kilku słowami to, co dla zrozumienia obrazu jest niezbędne. Przypomnimy więc, że Rumunia jest krajem nawskróś rolniczym. Z pięciu milionów mieszkańców zaledwie jeden przypada na ludność miejską — cztery zaś to zwarty zastęp ludu, osiadłego na roli, związanego z ziemią, matką jego i zarazem cmentarzem. Przemysł istnieje zaledwie w kilku miastach: w Bukareszcie, Galaczu, Ploiesti, Jassach, w których ześrodkowywa się również i życie umysłowe, społeczne i polityczne. Klasy wyższe miewają z ludem stosunki bardzo dalekie. Tylko w chwilach, kiedy chwieją się losy kandydata na szali wyborczej, wtedy zazwyczaj odwołują się mówcy do *tulpu terei*, do podstawy państwa.

Teraz możemy już przyjrzeć się samemu przedmiotowi opowieści p. Petrescu. Dziecko chłopskie nie zawsze przychodzi żywe na świat, ale bardzo często staje do walki śmiertelnej bez sił żywotnych. Autor zna gminy wiejskie, w których 14,5% nowonarodzonych umiera między 1—40 dniem życia. W ogólnej cyfrze śmiertelności rocznej dzieci do 10—11 lat stanowią 57%. Przyczyn takiego stanu rzeczy doszukuje się autor w zależności ekonomicznej, w niezwykle smutnych warunkach materyalnego istnienia, w przesądach i niewiedzy, która znajduje sobie bogate ujście w zwyczajach i obyczajach przestrzeganych na wszystkich szczeblach życiowych, pomimo że przeczą najkardynalniejszym nakazom hygieny. Tak np. jesteśmy przy akcie porodu. Na krótko przed samym faktem kładzie się położnica na gołą ziemię, rzuciwszy wokoło siebie trochę słomy: ma to przypominać stajnię, w której przychodził na świat Zbawiciel! Oczywiście, że zwyczaj ten, przestrzegany równie ściśle, jak każdy przepis kościelny, odbija się straszny mi skutkami na zdrowiu niemowlęcia, które wskutek zimna wpada w chorobę, znaną pod nazwą *trismus*. Jeżeli jednak organizm dziecka przezwycięży cały ten szereg zabójczych dla niego przejść, to nie znaczy jeszcze, ażeby mógł zostać żywym. Podczas żniw matka kładzie je na wilgotnej ziemi, a sama zmęczona, zamiast ożywczych wprowadza tylko zabójcze soki w spragnione usta niemowlęcia. Pozostała atoli w domu gromadka dzieci siedmio lub ośmioletnich, której za całe pożywienie służy mamałyga (potrawa z kukurydzy), trochę cebuli, garść papryki, groch, albo sama tylko, zawsze niezdrowa, bo zepsuta mamałyga. W tym właśnie czasie, kiedy dorośli pracują w polu, szerzy się epidemia chorób żołądkowych — żniwo jeszcze bogatsze dla śmierci. Jeżeli jednak, co w ostatnich czasach dość często się zdarza, zamiast epidemii przejściowej, spłynie na wieś prawdziwa, wtedy niema poprostu ratunku. O odosabnianiu chorych nikt nie myśli. W jednem i jedynem łóżku spoczywają pod jednem nakryciem zdrowe dzieci wraz z choremi. Dr. Petrescu daje kilka obrazków z ostatniej ospy, która nawiedziła jego wieś. Rodzice w polu. W domu chore dzieci znajdują się pod opieką ośmioletniej dziewczynki... Przed inną chałupą siedzi drobny rekonwalescent i raczy się mamałygą, w samej zaś komorze, pod łóżkiem rodziców, w korycie leżało drobne 2½-roczne dziecko, całe w krostach. Zresztą nikogo więcej w domu. Wobec takich stosunków mowy być nie może o zupełnem wyniszczeniu zarazków choroby, które gnieżdżą się w potwornie brudnej i niczem niedezinfekowanej atmosferze i pożerają to, co głód i nędza przy życiu zostawia. Są szkoły wprawdzie, ale do nich głodne, albo napół wypchane mamałygą maleństwo biedz musi 3—5 kilometrów bez względu na pogodę i stan drogi. Zbierając wszystkie te rysy w jedną cyfrę rozpaczy, uważa dr. Petrescu, że nie pozostaje nic innego, tylko zapytać: za czyje właściwie grzechy muszą cierpieć podobne katusze biedni, maluczcy nędzarze?

Przyjrzyjmy się jeszcze w dalekiej perspektywie życiu dojrzałego pokolenia. Ogólnie przyjmujemy za prawidło, że chłop tylko latem pracuje, a zimą śpi. Być może, że tak jest gdzieindziej, ale nie w Rumunii. Tutaj, ażeby nie przymierać (albo nie umierać) z głodu, musi on pracować w lecie, oddawać się drobnemu przemysłowi wiejskiemu, hodowli bydła itp. Mieszka przytem w lepiance, do której wchodzić trzeba zgiętym w pałąk, a w której na niewielkiej stosunkowo przestrzeni znaleźć musi miejsce dla siebie, dzieci i — inwentarza żywego. Rozumie się, że jest ta chałupa, jak to zaznaczyliśmy już wyżej, siedliskiem najróżniejszych niespodzianek hygienicznych i bogatym rozsadnikiem zarazków i przecinków, znanych albo jeszcze nieznanych. Chłop rumuński jest jaroszem nie tyle z amatorstwa, ile z konieczności: mamałyga, kartofle, cebula, czosnek, ogórki, kapusta, grzyby—cały ogród wiejski rośnie ku jego uciesze (gdzieniegdzie napotkać można i solone ryby, albo chleb). Według obliczeń, dokonywanych z naukową ścisłością, z całego tego przepychu wypada na głowę *78* gram. białka dziennie (tj. tyle, ile potrzeba dla wyżywienia dziecka), 51 gr. tłuszczu i 406 gr. wodanów węgla. Ażeby zrozumieć, ile tragizmu zawierają w sobie te cyfry, należy przypomnieć, że według wyliczeń Voita robotnik przy średniej pracy (np. chłop zimą) potrzebuje *118* gr. białka, 56 gr. tłuszczu i 500 gr. w. w., a przy ciężkiej—cyfry te należy powiększyć odpowiednio do wysokości 145, 100, 447. Potężną ilość ofiar zabiera także przestrzegany ściśle post, podczas którego chłop nie używa nawet mleka albo jaj; 90% chorób żołądkowych u dzieci przypisują lekarze tej przyczynie.

Jeżeli zebrać wszystkie dane otoczenia: mieszkanie, pracę, pożywienie — to otrzymamy cały szereg chorób, jak pelagra, która w sposób szczególnie życzliwy nawiedza równinę rumuńską. W r. 1889 w szpitalu leczyło się na te straszne cierpienia 11,000 ludzi, co jest cyfrą niezwykłą, jeżeli zważymy, że zaledwie drobna część chorych radzi się lekarzy, albo szuka ratunku w domach zdrowia. Na rzecz malaryi i syfilisu roczniki szpitalne wykazują w roku 1889 przeszło 25,000 chorych. Szpitali przytem wiejskich niema wcale, a instytucye, które noszą podobny tytuł (spitalele rurale) znajdują się w stanie „nędzy i rozpaczy." Apteczki wiejskie tą tak biedne i tak niedbale zaopatrywane w lekarstwa i środki świeże, że ogólnie rozpowszechnionem jest mniemanie, jakoby działanie branych z nich mikstur równało się cudownemu leczeniu za pomocą wody dystylowanej. Obowiązki lekarzy powierzane bywają młodym, niedouczonym słuchaczom uniwersyteckim z ostatniego roku, bo obecna liczba lekarzy w Rumunii wystarcza zaledwie dla ludności miejskiej. Młodzież ta jednak zdaje się wcale nie rozumieć swo-

jego zadania: niewybredna i nieukształcona ciżba chłopska ciągle skarży się na grubijańskie i bezwzględne obejście doktora.

Takiem w głównych zarysach jest życie chłopa rumuńskiego.

Hum.

LIBERUM VETO.

Komunikat o kruszących się ołówkach. — Prawdopodobna jego przyczyna. — Fabryka anegdot do przybrania wielkich ludzi. — Co lubi czytać Gladstone i Moniuszko. — Fotografie duchów w *Tygodniku ilustrowanym*. — Co nam przeszkadza uwierzyć w nie? Moje pragnienie. — Zbytnie wymaganie. — Wystawa kwiatów.

Faktem najdonioślejszym ubiegłego tygodnia był niewątpliwie komunikat reporterski o kruszeniu się ołówków. Nadaję mu ten tytuł po starannem rozważeniu rozmaitych względów. Jak wiadomo, opiekunowie naszego życia i kierownicy opinii publicznej, reporterzy, tylko w wypadkach szczególnej wagi uciekają się do komunikatów. Jeżeli np. powódź zaleje wybrzeża Wisły, to ten sam „sylf,“ obsługujący kilka pism, w jednem z nich może podać liczbę poszkodowanych na 1,500, w drugiem — na 427, a w trzeciem — na 50. Jest to bowiem zdarzenie drobne, które fantazyi krępować nie powinno. Natomiast jeżeli np. w parku Natolińskim zaczną krakać wrony, z pewnością w kilku gazetach pojawi się jednobrzmiący komunikat oberreportera, bo tu nie można pozwalać sobie nawet na urozmaicenie w przestankowaniu. Naród z kilku organów ma usłyszeć ściśle to tylko: w parku Natolińskim kraczą wrony. Otóż podobne zawiadomienie otrzymaliśmy o kruszeniu się ołówków, sprzedawanych w Warszawie. Czy wkrótce nie nastąpi oświadczenie jakiegoś dobroczyńcy, że on posiada ołówki, które się nie łamią — tego przewidzieć nie mogę, zresztą tu nas zajmuje sam fakt, który bezsprzecznie winien poruszyć wszystkie umysły.

Dlaczego on teraz dopiero i to z kilku stron został ujawniony? Odsuwamy przypuszczenie życzliwej, choć zamaskowanej dla kogoś usługi — nasze pióra brzydzą się reklamą — sądzę raczej, że istotnie reporterzy zauważyli w redakcyach niewytrzymałość ołówków. Przyrządy te używają się w nich do najcięższej z ciężkich robót, na którą kodeks nie skazuje nawet największych przestępców — do poprawiania rękopisów. „Pracze“ i „szlifierze“ redakcyjni wykonywają tę straszną pracę cierpliwie, ale czasami opanowywa ich taka wściekłość, że w zirytowanej ręce ołówek ciągle im się kruszy. Bo czy podobna nie wpaść w furyacki szał, gdy masz do przerobienia w rękopisie taki np. frazes: „Dowodzenie autora dowodzi, że jego dowody nie wytrzymują krytyki, trzymającej się...“ Wtedy można złamać żelazo, stal, dyament, a nie dopiero wątły grafit! Jeżeli zaś podobne kwiatki wyrastają nieraz pod piórem literatów, to łatwo sobie wyobrazić, ile ołówek ma do czynienia z wypracowaniami reporterów. To też kruszy on się co chwila i wątpimy, czy jakakolwiek fabryka zdoła wyrobić takie, któreby wytrwały w tej katordze.

Byłbym głęboko zmartwiony, gdyby czytelnik z powyższych uwag wywnioskował, że nie uczuwam należytego szacunku dla reporterów. Broń mnie Boże od takiego grzechu! Jeżeli prasa jest „szóstem mocarstwem,“ to reporterzy sprawują w niej najwyższe urzędy — konsulów, senatorów, dyktatorów lub czegoś podobnego. Albożnie słyszeliście, że od nich zależy śmierć lub życie kupców, fabrykantów, aktorów, teatropisarzów, uczonych itd. Wam się zdaje, że najsławniejsi z pomiędzy nas zdobyli sobie rozgłos o własnych siłach. Gdzie tam! I oni wjeżdżają do Kapitolu na rydwanie, zaprzężonym co najmniej w jednego reportera. Niegdyś, jak i wy, byłem naiwnym, ale znaleźli się doświadczeni mistrze, którzy mi wytłomaczyli mechanizm tego świata.

— Pan myślisz zapewne — mówił mi taki mędrzec — że to nic nie znaczy, gdy czytasz w Kuryerze — dziś: X. wyjechał do Otwocka; jutro: X. zamierza lato przepędzić w Trenczynie, dokąd spłynęła śmietanka literatury; pojutrze: X. zaczął pisać powieść społeczną o wspaniałych widnokręgach; za tydzień: X. zwiedził wystawę pakuł i wyrzekł: ach!; za dwa tygodnie: zwracamy uwagę na prześliczny artykuł X. o pisku nietoperzy w Ojcowie; za trzy tygodnie: w kołach literackich powtarzają dowcip X. o Dumasie: jest to sól gorzka... Pan myślisz, że to nie robi sławy?

Teraz już tak nie myślę, bo znam potęgę reporterów. Ci wszechwładni mocarze trudnią się między innemi także zmyślaniem anegdot o wielkich ludziach. Ponieważ świat poprostu nie wyobraża sobie znakomitego człowieka bez anegdoty, a niejeden z nich nie dostarczył materyału dla żadnej, więc owi specyaliści przyczepiają do niego własne wytwory. Tak np. Gladstone miał codziennie według nich ścinać w swym parku grube drzewo, czego naturalnie nie robił. Obecnie gazety opowiadają o nim, że każe sobie czytywać rozmaite utwory nowsze, ale ponieważ te szybko go nudzą, więc codzień powraca do „swej ulubionej lektury“ — trzeciej księgi *Eneidy*. Czy wy, po za ludźmi pobożnymi, odmawiającymi codzień pewne modlitwy lub ustępy z księgi świętej, znacie jakiegoś człowieka, któryby ciągle odczytywał jakiś utwór literacki? Dalej, czy możecie pojąć takiego, dla któregoby trzecia księga *Eneidy* była niewyczerpanem źródłem rozkoszy duchowej? Co do mnie, zaledwie uwierzyłbym, że istnieje między obłąkanymi taki dziwny maniak. A jednak reporterska anegdota przypisuje to maniactwo umysłowi ogromnej siły i trzeźwości. Ta bajka ma pewną swoją racyę. Wielkich mężów stanu zwykliśmy dekorować *à l'antique*. Nie przystoi im wkładać do rąk książek nowoczesnych, lecz Sofoklesa, Horacego, od biedy Danta lub Shakespeare'a. Z poezyami Shelleya lub powieścią Flauberta wyglądaliby śmiesznie, gdyby nawet lubili szczególnie tych autorów. Szkoda, że Darwin zostawił swą autobiografię, w której wyznał, że namiętnie czytywał zwyczajne powieści; z pewnością reporterzy kazaliby mu nie rozstawać się z Arystotelesem i Pliniuszem. Nazajutrz po śmierci Moniuszki chciano mu również dać jakąś ulubioną książkę, więc ktoś wpadł na genialny pomysł i ogłosił, że twórca *Halki* umarł z... *Encyklopedyą* Orgelbranda w ręku, którą zwykł był czytywać co wieczór.

A zatem: jeżeli reporterzy stemplują prawdy naukowe, rozdzielają wieńce utworom sztuki, wyrabiają opinię i dekorują ludzi wielkich, czyż nie można zarówno pod Austerlitz, jak Waterloo powiedzieć: to oni zwyciężają...

Oni także rozstrzygają, czy mamy wierzyć lub nie wierzyć w spirytyzm lub medyumizm. Jeżeli oni zechcą, będziemy wierzyli w duchy, w podnoszenie się stołów, w tańcowanie lamp i inne sztuczki istot doskonalszych od człowieka. Tymczasem z niezmordowaną wytrwałością przekonywa nas o możności fotografowania duchów p. Matuszewski w *Tygodniku ilustrowanym*. Ażeby poprzeć swoje rozumowania dowodami, zamieszcza dwie odbitki fotograficzne, z których jedna posiada zagadkową plamę białą, a druga — czarną. Mają to być duchy. Ktoś z miejsca doświadczeń nadesłał do nas list, którego autor dowodzi, że p. M. padł ofiarą mistyfikacyi. Listu nie wydrukowaliśmy, gdyż autor postawił w nim za wiele warunków (np. żebyśmy mu dostarczali numery wszystkich pism, które przeciw niemu wystąpią itd.), a za mało faktów. Zresztą nie chodzi nam o jakiś pojedynczy wypadek, lecz o skargi i zdziwienie rzeczników spirytyzmu i medyumizmu, użalających się na zaślepienie sceptyków. Otóż byłoby bardzo pożądanem, ażeby oni odpowiedzieli sobie na bardzo proste pytanie: co powstrzymuje ludzi rozumnych i ulegających faktom od uznania głoszonych cudów? Głupota chyba nie, bo przecie są między niedowiarkami umysły światłe i dla nowych prawd dostępne. Interes — także nie, bo cóżby to szkodziło człowiekowi na jakiemkolwiek stanowisku przyznać, że duchy są i przesuwają krzesła. Więc co? Ja osobiście, który spirytystom i medyumistom zawdzięczam tylko chwile serdecznego śmiechu, w życiu mojem bardzo rzadkie, pragnąłbym szczerze, ażeby duchy istniały (choćaż mniej idyotyczne) i wchodziły w zetknięcie z ludźmi. Ach, jakżebym się wtedy czuł uradowany! Ile razy świat rzeczywisty przejąłby mnie obrzydzeniem, odstręczył swoją małością, nikczemnemi pożądaniami, dzikim rykiem, biegłbym do medyum lub siadał przy stoliku i przywoływał sobie całe zastępy szlachetnych duchów. Byłoby to prawdziwe wniebowzięcie. Nie codzień, nie co godzinę, nie co minutę można obcować z wielką duszą w ludzkie ciało przybraną, więc każdy zapełniałby sobie przerwy rozmową z istotami nadziemskiemi. W tej chwili przesuwa mi się przez głowę nieskończony szereg owych istot, które chciałbym widzieć lub przynajmniej czuć około siebie, łagodzące mi smutek, rozjaśniające nowymi promieniami wiedzę, ogrzewające ciepłem czystych uczuć i błyskające prawdami, których samo myśli moje wykrzesać z siebie nie mogą. Duchów zatem pożądam, łaknę, ale... niewątpliwych. Na wszelkie fałszerstwo lub złudzenie łatwiej się zgodzę, niż na to. Mogę jeść masło podrabiane łojem, mogę pić wino zaprawiane malwą, mogę ufać cnotom łotra, ale nie mogę wierzyć w podrabiane i fałszowane duchy. W żaden sposób! Tymczasem spirytyści żądają od nas, ażebyśmy w sprawdzaniu duchów i objawów „nowej siły“ byli jeszcze mniej wymagający, niż w sprawdzaniu masła lub wina. O, przepraszam, rozstrój żołądka jest mniej niebezpieczny, niż rozstrój mózgu. Pierwszy sprowadza chwilowe cierpienie, drugi wpędza w dożywotni obłęd. W pierwszym przyczynę choroby dostrzegam odrazu, w drugim jej nie widzę. Gdy uczuję zawrot głowy po wypaleniu fajki opium, wiem co mi zaszkodziło; ale gdy uczuję zawrót głowy po wypaleniu fajki spirytyzmu, sądzę, że mi go sprowadziło co innego. Roznosiciele „nowych prawd“ mają nawet większe pretensye, niż bogowie. Epikur, usłyszawszy od Jowisza naganę za to, że weń nie wierzy, odpowiedziałby mu: „Czyż ja temu jestem winien? Dlaczegoś mnie, boże, tak nie stworzył, ażebym cię przeczuł lub dlaczego nie objawiłeś się tak wyraźnie, ażebym o istnieniu twojem nie wątpił?“ I Jowisz z pewnością przyznałby mu słuszność. Spirytyści i medyumiści, którzy nie mogą nas ani odpowiednio stworzyć, ani dowodnie przekonać, pomimo to każą nam wierzyć w swoje duchy pod groźbą odsądzenia od rozumu. Daremnie usprawiedliwiamy się, że te duchy są wielokrotnie stwierdzonymi wytworami oszustwa, że ich pośrednicy (medya) łapani byli na rozmaitych kuglarstwach, że my nie możemy poświęcać całej naszej wiedzy na ołtarzu podejrzanej magii — nic nie pomaga. Ha, kiedy nie pomaga, to odwróćmy się od nowych objawień i pójdźmy swoją drogą. Dokąd?

Chociażby na wystawę kwiatów, którą urządziło Towarzystwo ogrodnicze, niezmiernie dbałe o rozpowszechnienie zami-

łowania do tych rozkoszy natury i dlatego pobierające za wejście w pierwszym dniu tylko... 50 kop., w następnych 30. Jeżeli masz czworo dzieci i żonę, to zapłacisz za tę przyjemność zaledwie 3 rs. lub 1 rs. 80 kop. Drobnostka! Pomimo to niech idzie każdy, kto ma w kieszeni wymaganą ilość kopiejek: po obejrzeniu tych ślicznych wdzięków, zaklętych w liście i barwy, zrobi wam się w duszy jaśniej bodaj na chwilę, a to warte więcej, niż 50 kop. A kto ma jeszcze więcej, niech ucieka na lato z Warszawy, z miasta, z bruku, z wrzawy i odorów. Uciekajcie prędzej, niż przed pogonią strachu.

Poseł Prawdy.

W DALI.

Łódź. Zarząd drogi żel. Władykaukazkiej otwiera w Łodzi agenturę do pośredniczenia w zakupie wełny z Azyi środkowej dla fabryk miejscowych, oraz w zbywaniu wyrobów łódzkich w kraju Zakaspijskim. — Miasto otrzyma dwie filie pocztowo-telegraficzne: jedną na Starem mieście, drugą na Wólce. — P. M. Silberstein zaprowadza w Lisowicach pod Koluszkami hodowlę rasowego bydła i trzody chlewnej. — W Zgierzu p. Auerbach buduje wielką przędzalnię. — Dnia 13 b m. wybuchnął pożar w składzie wełny przy ul. Cegielnianej. Straty są znaczne. — Dnia 9 b. m. odbyło się doroczne zebranie ogólne ochotników straży ogniowej. Straż składa się z 733 członków czynnych i 1,066 honorowych (płacących składki). Wydatki wynosiły w ciągu roku sprawozdawczego 11,403 rs. 94 kop.; pozostało w kasie 9,390 rs. 86 kop.

Radom. Widoki urodzajów są świetne. Trawy pastewne zadawalające. Koniczyna wyborna. — Trzej kapitaliści z Przysuchy zakładają w Radomiu fabrykę wyrobów żelaznych, z kapitałem wynoszącym kilkadziesiąt tysięcy rubli.— Pod Olkuszem odkryto pokłady rudy żelaznej.— Cena żyta na targu radomskim podniosła się nieco, z powodu małego dowozu przez włościan. — Sąd okręgowy i hypoteka przeniosą się wkrótce do osobnego nowego gmachu, który już jest na ukończeniu. — Straż ochotnicza radomska organizuje własną orkiestrę.

Moskwa. Niedawno w Radzie państwa roztrząsano projekt nowego instytutu gospodarstwa wiejskiego, złożonego z dwóch oddziałów: agronomicznego i inżeniersko-agronomicznego, zamiast zamkniętej Akademii Petrowskiej. Opłata roczna za naukę i całkowite utrzymanie ma wynosić 400 rs.; kończący kurs instytutu otrzymają prawa, nadawane przez uniwersytet. Zapis słuchaczów zacznie się już w jesieni r. b. — W sąsiadującej z moskiewską gubernii twerskiej, ziemstwo gubernialne pragnie wprowadzić obowiązkowe wykształcenie elementarne. Już obecnie we wszystkich powiatach, prócz ostaszkowskiego, uczęszcza do szkół przeszło 75% chłopców w wieku szkolnym, w powiecie zaś ostaszkowskim 64%. Do urzeczywistnienia zamiaru brak funduszów, o które ziemstwo ma się udać do skarbu państwa w formie pożyczki. Co się tyczy typu szkół, wszystkie powiaty oświadczyły się za kursem 4-letnim z dwoma wykładającymi. — Jedna z firm elektrotechnicznych zamierza połączyć Petersburg z Moskwą za pomocą linii telefonicznej i w tym celu złożyła odpowiednie podanie.

SPRAWY EKONOMICZNE

ŚRODKI WZMOCNIENIA EKONOMICZNEGO.

I.

Mamy w ręku broszurę p. Piotra Isajewicza, wydaną niedawno w Warszawie po rusku p. t. „Czego potrzeba dla polepszenia warunków ekonomicznych gubernij Królestwa Polskiego?“ Ze względu na ugrupowanie wybitnych i ważnych faktów tudzież wniosków i rad autora, przedmiotowi temu poświęcimy więcej miejsca i skorzystamy oczywiście ze szczegółów najdonioślejszych, z opuszczeniem mniej ważnych lub bardziej znanych. Posługując się pracą powyższą, jako materyałem, czynimy inne ugrupowanie, niż autor, w taki sposób, iżby można było pochwycić całokształt warunków istniejących i ich braków. To, co w pracy p. J. jest zakończeniem, uważamy za właściwe umieścić na czele, jako dział, stanowiący odłam spraw najważniejszych.

Przedewszystkiem rzućmy okiem na szereg czysto miejscowych przyczyn małej dochodności ziemi: 1) Eksploatacya ziemi wogóle i lichwa w szczególności; 2) serwituty włościańskie, obciążające znaczną część dóbr prywatnych w kraju; 3) brak ulg przy poborze podatków i dla ich wnoszenia niewłaściwość obecnych terminów; 4) upadek gorzelnictwa; 5) cło od zboża na granicy niemieckiej i nieprzewidziane jej zamykanie przed wywozem z Rosyi wełny, bydła, owiec, nierogacizny itd.; 6) znaczne obszary ziemi, niezdatnej dla kultury rolnej a dotychczas niezalesione z braku środków odpowiednich; 7) niedostatek reproduktorów rasowych i skutkiem tego niemożność hodowania lepszych ras koni i bydła; niezadawalający stan dróg, przeznaczonych do przewożenia produktów wiejskich, zbywanych w punktach handlowych, tudzież brak linij dojazdowych do kolei żelaznych i niezużytkowywanie środków drogowych (składek) na potrzeby miejscowe, upadek młynarstwa, i 9) wielkie obarczenie morga ziemi przez składki gminne.

Jakież są środki na usunięcie tych zasadniczych przyczyn niepowodzenia? Praktykowane w szerokich rozmiarach wyzyskiwanie rolnictwa, szczególnie przez żydów, dałoby się, zdaniem p. Isajewicza, usunąć za pomocą otwarcia przystępnego dla wszystkich ziemian taniego kredytu wekslowego w kantorach i oddziałach Banku państwa, kredytu, zabezpieczonego przez hypotekę, żywy i martwy inwentarz tudzież zboże na pniu i sprzątnięte w stodołach, śpichrzach i składach po wysokości sumy, nie przewyższającej sześciokrotnie wziętych podatków gruntowych (głównych i dodatkowych). Zasiłek w tej postaci byłby pożądany dla zwiększenia pieniężnych środków obrotowych tudzież na kupno nasion, narzędzi rolniczych, inwentarza żywego, wreszcie na uporządkowanie zabudowań i innych niezbędnych szczegółów gospodarstwa.

Autor powołuje się na formę tego rodzaju kredytu, udzielanego ziemianom przez cukrownie w postaci zaliczek na buraki. Zapomina wszakże, czy też nie wnika w istotę tego kredytu i jego skutki, tj. uzależnienie całkowite plantatorów, czyli poprostu zaprzedanie się wytwórcom cukru, częstokroć na warunkach pożyczki lichwiarskiej. Proponowana powyżej pożyczka bankowa oczywiście przedstawiałaby formę pomocy wręcz odmiennej, w niczem niepodobnej do zaliczek cukrowników na produkt surowy: „Ponieważ w każdych dobrach — mówi p. J. — część pożyczki Towarzystwa kredytowego ziemskiego jest już umorzona, więc kredyt wekslowy Banku, dany na pierwszy numer hypoteki po Towarzystwie, miałby bezpieczeństwo zupełne.“

W ułatwianiu kredytu właścicielom drobnym, tj. włościanom i mieszczanom-rolnikom, nieostatnią rolę, zdaniem autora, mogłyby odegrać kasy gminne pożyczkowo-wkładowe. Obecnie słaba ich zasobność, a zatem i nieznaczne zasiłki krótkoterminowe, nie odpowiadają pierwotnej myśli przewodniej, która miała tym instytucyom nadać wybitne znaczenie w praktyce, uwolnić ludność od lichwiarzy i wszelkich innych wyzyskiwaczów wiejskich. Udzielanie pożyczek tylko z jedyną ulgą— odroczenia spłaty, jest uciążliwe dla włościan. Kasy powyższe wtedy tylko całkowicie będą odpowiadały celowi swemu, gdy wprowadzą pożyczki, udzielane na czas dłuższy, umarzane ratami w terminach najdogodniejszych dla dłużników. Chcąc atoli rozszerzyć działalność kas, należy przedewszystkiem wzmocnić ich zasobność. Dla zadośćuczynienia temu ostatniemu warunkowi, p. Isajewicz doradza użyć części kapitałów, należących do miast Królestwa Polskiego a zdeponowanych w warszawskim kantorze Banku państwa i jego oddziałach.

Suma owych kapitałów w sześciu guberniach (warszawskiej, piotrkowskiej, lubelskiej, siedleckiej, łomżyńskiej i płockiej), według sprawozdań z r. 1890, stanowi 1,723,711 rs. w całem zaś Królestwie Polskiem około $2\frac{1}{4}$ mil. rs. Bank państwa płaci od tych funduszów bardzo niewielki (3%) procent; dla miast zatem byłoby wielce korzystno, gdyby je przelano do kas gminnych, które płaciłyby 6—8%. Byłoby atoli właściwiej i lepiej, gdyby dla tych kas Bank państwa otworzył kredyt bezpośredni, gdyż fundusze miejskie należałoby obrócić na urządzenie instytucyi kredytowych dla ubogiej ludności miasta, trzymanej w uścisku lichwy. Autor jeszcze szeroko się rozwodzi nad zużytkowaniem dochodów propinacyjnych, ale wobec zbliżającego się monopolu wódczanego i stąd zasadniczych reform, pomijamy tę kwestyę zupełnie.

Po za tem pozostaje jeszcze dość pilna sprawa kredytu dla innej kategoryi: większej i średniej własności ziemskiej wobec jej zadłużenia. P. Isajewicz, kładąc nacisk na niedostateczność kredytu długoterminowego, udzielanego przez Towarzystwo, doradza utworzenie banku hypotecznego, który dawałby zasiłki długoterminowe na numer, idący po pożyczce Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Listy zastawne nowej instytucyi, jak przypuszcza autor, miałyby kurs dobry nie tylko w kraju, ale i za granicą; miejscowi zaś kapitaliści — chrześcianie chętnie umieszczaliby swoje fundusze w takich wartościach, szczególnie przy obecnem przyjaznem usposobieniu kapitalistów francuskich i belgijskich dla ruskiego rynku pieniężnego.

Banki ziemskie, urządzone według wzorów szkockich, dające niezbędne dla gospodarzy sumy obrotowe, działają na zachodzie Europy z ogromnym pożytkiem. „W Królestwie Polskiem — mówi p. I. — i w ogóle w granicach uprawnionego zamieszkiwania żydów, byłyby one istnem dobrodziejstwem,“ gdyż uwolniłyby ziemian od lichwy. Kredytu w takiej formie nigdy nie zastąpi wekslowy, udzielany na krótkie terminy przez filie Banku państwa.

Zobaczmy, jak autor rozstrzyga inne przyczyny niedomagań: „Służebności włościańskie, obarczające użytki dworskie, należałoby jak najprędzej uregulować w interesie nie tylko obu stron, ale i ze względów państwowych. Z zamianą służebności skończyłyby się spory i procesy, ustałoby niszczenie młodych zagajników, wreszcie wszelkie szkody leśne, wypasanie posiewów, łąk itd.; gospodarkę leśną można byłoby prowadzić według najwłaściwszych metod, przyczem włościanie lepiej przez to zabezpieczyliby się materyalnie, co każe przypuszczać fakt z życia: ci, którzy dobrowolnie ułożyli się o służebności, o wiele trwalszy poczuli grunt pod nogami. Cała atoli sprawa serwitutowa jest niezmiernie zawiła i trudna do rozgmatwania. Otóż p. J. podaje, jako najskuteczniejszy, następujący sposób: W każdym powiecie należy stworzyć specyalną komisyę albo komitet pod przewodnictwem komisarza miejscowego (który musi być dokładnie obeznany z przedmiotem) i przy udziale: inspektora podatkowego, pełno-

mocnika zarządu leśnego (jeżeli w sprawie jest zainteresowany skarb) i naczelnika powiatu — wszyscy jako członkowie z prawem głosu. Wreszcie pożądany byłby, jako biegły, technik leśny i urzędujący przy komisarzu geometra etatowy. Pomijamy wiele innych szczegółów, projektowanych przez autora urządzeń administracyjnych, bo liczba członków i instancyj tudzież nazwy techniczne mniej na razie przedstawiają interesu, niż sam rdzeń sprawy. Zasadę przy regulowaniu służebności stanowić mają: tabele likwidacyjne, ilość bydła, wypuszczanego przez włościan na pastwiska dworskie, wartość materyału leśnego wyznaczonego na każdą zagrodę, przyczem zasadą do wynagrodzenia może być przyjęte oszacowanie wartości serwitutów za ostatnie pięciolecie z dodaniem na rzecz włościan jeszcze 10% do sumy ogólnej. Wynagrodzenie może być dwojakie: w gotowiźnie i gruncie, stosownie do umowy. W razie zaś przymusowego załatwienia sprawy, rodzaj wynagrodzenia określać ma komisya stosownie do warunków (np. w razie trudności wydzielania ziemi — spłata gotówką).

Niemniej ważnym, wskazanym przez autora szczegółem niepożądanego stanu rzeczy, jest pobór podatkowy. Obowiązujący dziś termin wnoszenia tych opłat przed 1 lipca wyrządza wiele strat rolnikom, a natomiast przynosi znaczne zyski lichwiarzom, zakupującym zboże „na pniu" i „robiącym" ceny stosownie do własnych interesów. Wiadomo, że maj, czerwiec, lipiec, sierpień, a nawet wrzesień, to najważniejsze miesiące pracy dla rolników zarówno większych, jak i drobnych, to okres gorących robót polnych, czas, w którym ani produktów do sprzedania, ani grosza gotowego niema. Ze względu na to, zdaniem p. Isajewicza, należy wytwórców rolnych pozostawić w spokoju do 1 października. „Jeżeli termin ściągania i płacenia podatków ulegnie zmianie, to wszyscy płacić je będą akuratnie, co zaś ważniejsza — bez uciekania się do lichwiarzy, lecz z własnych środków."

W szeregu zjawisk ujemnych z kolei idzie upadek gorzelnictwa, które niegdyś silnie rozrosłe (raczej przyjaźniejsze posiadające warunki od istnienia), stanowiło znaczną pomoc dla rolnictwa, czego dowodzi fakt, iż dochód z kartofli i jęczmienia wynosił nieraz połowę, a miejscami nawet większą część ogólnych wpływów z ziemi. Dla zaradzenia złemu autor daje radę ogólnikową, nic mieszczącą w sobie nic nowego: „Należałoby przyjść z pomocą tej sprawie; spirytus, zbywany za granicą, przyniósłby dochód właścicielom ziemskim i zapobiegłby przemycaniu zagranicznego (tańszego) na kresach zachodnich."

Nad innemi przyczynami osłabienia ekonomicznego, jako rozpatrywanemi już wielokrotnie, przejdziemy pobieżnie. Autor kładzie nacisk na zgubny wpływ zamykania granicy pruskiej dla wywozu bydła, owiec i wełny, z czego korzystają spekulanci. Na to wszakże, przynajmniej w chwili obecnej, niema środka, nawet na drodze polityki ekonomicznej, gdyż jak wiadomo, w traktacie handlowym Niemcy nie uczynili wielkiego ustępstwa w tej mierze z obawy zawleczenia zarazy (częstokroć urojonej). Zalesienie nieużytków i sposoby udogodnienia komunikacyi kołowej to są sprawy, których skuteczne załatwienie autor widzi tylko na drodze administracyjnej i które już nieraz dość szeroko były rozważane w sekcyi rolnej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Pozostaje jeszcze zaliczyć do ważniejszych proponowane zwiększenie liczby rozpłodników i polepszenie ras bydła rozpłodowego i koni. Autor uważa tu za najodpowiedniejsze zaprowadzenie w każdym powiecie (przynajmniej w dwu miejscowościach każdego) stacyi skarbowych z ogierami i buhajami, pod nadzorem i odpowiedzialnością kilku większych właścicieli ziemskich. Świetne rezultaty racyonalnej hodowli bydła ujawniły się w gospodarstwach wzorowych gub. piotrkowskiej, kaliskiej i suwalskiej. Szczególnie w powiatach północnych tej ostatniej (kalwaryjskim, maryampolskim, wołkowyskim i władysławowskim), istnieje bardzo dużo stajni zarodowych, nawet u włościan zamożnych. Ale i tam w ostatnich latach ów odłam gospodarki szwankować zaczął, skutkiem czego ustanowiono w Kalwaryi coroczne wystawy koni roboczych pod kierunkiem oddziału wileńskiego stadnin rządowych. Wogóle tu i owdzie w Królestwie, u niektórych większych właścicieli stoją ogiery skarbowe, ale jak utrzymuje autor, nie było przykładów przysłania buhajów; w tym więc względzie należałoby zabiegi i działania rozszerzyć.

Zen. Piet.

PRASA RUSKA.

Warsz. Dniewnik pisze:

„Łódzki oddział Tow. pop. rusk. przem. i handlu zajął się kwestyą racyonalnego unormowania godzin pracy w fabrykach i zakładach przemysłowych i przekonawszy się, iż zmniejszenie liczby godzin pracy wogóle, a nocnej w szczególności, dodatnio odbije się na dobrym wyrobie produktów i zwiększy produkcyjność siły roboczej, opracował następujący projekt:

1) Robota nocna od godz. 10 wieczorem do 4 z rana jest zakazana we wszystkich zakładach przemysłowych, z wyjątkiem tych, które odpowiednio do charakteru swej produkcyi powinny prowadzić robotę bez przerwy. W razie zniszczenia przez pożar części fabryki itp. wypadków, czasowo pozbawiających zarobku robotników, inspekcya fabryczna może dozwolić roboty nocnej na czas pewien, konieczny dla przyprowadzenia fabryki do stanu poprzedniego. Reparacya maszyn, kotłów itp., bez których poprawienia cała fabryka lub jej część nie mogłaby być w ruchu, może być dokonywana bez specyalnego pozwolenia i podczas nocy, zarówno w samej fabryce, jak i w warsztatach mechanicznych, choćby one należały do osób postronnych.

2) Najdłuższy przeciąg roboty dziennej od godz. 4 z rana do 10 wieczorem ogranicza się:

a) w kopalniach rud metalicznych, węgla kamiennego i wogóle we wszystkich tych zakładach, gdzie praca jest prowadzona w podziemiach — 10-u godzinami na dobę;

b) w fabrykach żelaza, stali i wogóle wyrobów metalicznych, oraz w fabrykach maszyn, szyn itp. — 11-u godzinami na dobę;

c) we wszystkich pozostałych zakładach przemysłowych — 12-u godz. na dobę, z obowiązkową przerwą przynajmniej jednogodzinną na obiad.

W czasie, przeznaczonym na obiad, robota obowiązkowo ustaje. W czasie śniadania i podwieczorku maszyny mogą być w ruchu, lecz w takim razie czas ten nie wytrąca się z ogólnej ilości godzin roboczych. W tych wypadkach, gdy z jakiegobądź powodu, niezależnego od woli właściciela fabryki, część jej nie mogła być czynną, w pozostałych jej częściach normalny dzień roboczy może być przedłużony na pewien czas za specyalnem pozwoleniem inspekcyi fabrycznej. Maszyniści, palacze itp., którzy z konieczności muszą rozpoczynać robotę wcześniej, aniżeli inni robotnicy, lub też kończyć ją później, nie podlegają ustanowionym tu ograniczeniom.

3) W tych zakładach przemysłowych, których właściciele, mimo braku konieczności utrzymywania fabryki w ciągłym ruchu, pragnęliby prowadzić ją przez czas dłuższy, aniżeli 12 godzin na dobę przy dwóch zmianach robotników, praca każdej zmieniającej się partyi nie może trwać dłużej nad 9 godzin na dobę w czasie od godz. 4 z rana do 10 wieczorem.

4) Wszystkie powyższe ograniczenia powinny mieć moc obowiązującą po upływie roku od zatwierdzenia i ogłoszenia prawa.

Gdyby po upływie 5 lat od chwili wprowadzenia w życie podanego wyżej ograniczenia dnia roboczego doświadczenie wykazało, że ograniczenie to jest pożyteczne dla robotników i nie przyniosło szkody rozwojowi przemysłu, to byłoby pożądanem skrócić dzień roboczy dla każdej ze wspomnianych w artykule 2-im pod punktami *a*, *b* i *c* kategoryj zakładów przemysłowych, jeszcze o 1 godzinę, a ograniczenie roboty nocnej, wspomniane w art. 1-ym, rozszerzyć na czas od godz. 9 wieczorem do 5 z rana.

Projekt ten został przesłany przez łódzki oddział do komitetu centralnego tego Towarzystwa w Petersburgu celem podania odpowiedniej prośby do ministeryum skarbu."

KRONIKA.

Sprawy społeczne. We Wrocławiu powstaje towarzystwo folklorystyczne (ludoznawcze), które ma zajmować się zabytkami i istniejącemi dziś wierzeniami i zwyczajami ludności słowiańskiej Szląska (polskiej, czeskiej, morawskiej).

— W dniu 19 b. m. 590 dzieci znajdowało się już na kolonjach letnich. Towarzystwo wioślarskie ma przeznaczyć na tenże cel dochód z obchodu wianków.

— P. Engelman z Kuźnicy Grabowskiej w powiecie wieluńskim sprzedał kupcom warszawskim las za 470,000 rubli.

- W osadach Zaklików i Tarnogród gub. lubelskiej, Osiek gub. radomskiej, Korczyn i wsi Baran gub. kieleckiej, otwarto stacye telefoniczne dla przyjmowania depesz korespondencyi wewnętrznej, które podawane do najbliższych stacyj telegraficznych podług adresu mają być wysyłane telegrafem.

Szkoły. Instytut nowo aleksandryjski ogłasza, iż w roku szkolnym 1894/5 będą zaliczeni bez egzaminu w poczet studentów I-go kursu przedewszystkiem ci, którzy ukończyli kurs wyższych zakładów naukowych (w tej liczbie i instytutów weterynaryjnych), przyczem ci, którzy ukończyli wydział fizyczno-matematyczny, mogą być przyjęci wedle uznania rady, na jeden z wyższych kursów Instytutu. Następnie ci, którzy otrzymali świadectwa dojrzałości w gimnazyach oraz świadectwa z ukończenia szkół realnych z klasą dodatkową, tudzież, którzy ukończyli kurs nauk w Aleksandrowskiej szkole handlowej w Moskwie, w korpusach kadetów, w instytucie dla sierot w Gatczynie, z odznaczeniem w szkołach rolniczych, zarządzanych przez ministeryum rolnictwa i dóbr państwa, w seminaryach duchownych i w wyższej szkole rzemieślniczej w Łodzi — będą przyjmowani, jeżeli liczba kandydatów przewyższy liczbę 60-u, na zasadzie egzaminu konkursowego z algebry, geometryi, trygonometryi, fizyki i języka ruskiego podług programu gimnazyów klasycznych. Prośby o przyjęcie do Instytutu mają być nadsyłane pocztą na imię dyrektora Instytutu przed 1 (13) sierpnia, z odpowiednimi dokumentami. Egzaminy rozpoczną się w dniu 7 (19) września. Półroczną opłatę za naukę w wysokości 25-u rs. składać należy zaraz po przyjęciu do Instytutu. Bliższych informacyi udziela na żądanie kancelarya Instytutu.

— W pracowniach Muzeum przemysłu i rolnictwa niebawem rozpoczną się zajęcia z praktykantami cukrowniczymi i aspirantami do tego zawodu. Tak jak i w latach ubiegłych, prowadzić je będą pp.: J. J. Boguski i N. Milicer; rozpocznie je p. Milicer w d. 15-ym lipca. Bliższych wiadomości udzielają obie pracownie oraz kancelarya Muzeum.

Zdrowie publiczne. Według doniesienia *Radom. gub. wied.*, cholera szerzy się w Opocznie, Drzewicy i wsi Kozanów pod Opocznem, oraz we wsi Wierzbicy pod Radomiem.

— W Toruniu, jak donosi *Praw. Wiest.*, zdarzyły się trzy wypadki cholery.

— W dniu 28 b. m. w szpitalu Dzieciątka Jezus było chorych na cholerę 32. We wsi Wola w dniu 16-ym b. m. było 5 chorych.

Wypadki. Na okręcie „Westport," jak donoszą z Londynu, utonęło stu robotników irlandzkich.

Wylewy. Na Szląsku i w Galicyi Zachodniej wylewy poczyniły ogromne zniszczenia wśród pól, budynków i inwentarza. W Krakowie ulice położone nad rzeką, Podgórze, park Jordana, błonia niekiedy na metr wysokości są pod wodą. Podobnież wylały rzeki i potoki od granicy szląskiej aż do Jarosławia. Żywność dostarczają statkami parowymi. Dnia 19 woda zaczęła nieco opadać. Pod Stryjem Dniestr wylał. W Pszczynie most zerwany.

— W Warszawie poziom Wisły dosięgnął 17 stóp; bulwarki i park praski zalany.

Koleje. Zarząd kolei południowo-zachodnich rozpoczął roboty około budowy odnogi do puszczy Białowieskiej. Bocznica ta ma być ukończona w październiku r. b.

— Ministeryum komunikacyi opracowywa plan uregulowania i ożywienia na niektórych arteryach wodnych przewozu transportów, odznaczających się wielką objętością a przedstawiających stosunkowo małą wartość. Powstała myśl zbudowania wzdłuż rzek kolei wązkotorowych i holowania statków za pomocą specyalnych parowozów. System taki jest w użyciu na wielu kanałach we Francyi, Niemczech i Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

Zmarli. Kardynał Albin Dunajewski, książę biskup krakowski, w Krakowie, lat 77.

— Marcelina ks. Czartoryska, z domu Radziwiłłówna, w Krakowie, lat 77.

— Franciszek Quirogay Rodriguez, profesor krystalografii w Madrycie.

— Dr. Zacharyasz von Lingenthal, znawca prawa rzymskiego, pod Hallą, lat 82.

— Dr. Karol Teodor Liebe, geolog i ornitolog, w Gera, lat 66.

— Dr. Wilhelm Freund, leksykograf i tłómacz klasyków rzymskich i greckich, urodzony w Kępnie w W. Ks. Poznańskiem, zmarł we Wrocławiu, lat 88.

OFIARY.

Na kolonie letnie rs. 3 od Władysława Gąsiorowskiego z Suwałk.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 10 Іюня 1894 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.